

Funkcja literatury

Zygmunt Mikulski snuje rozważania na tle XVIII Zjazdu Związku Literatów Polskich nie pomijając i środowiska lubelskiego: „Meritum sprawy tkwi w tym, aby młodym adeptom pióra najpełniej udostępnić warunki rozwoju ich zainteresowań”.

Paweł Niewinny i jego oddział

Henryk Mioduchowski: „Jest w tej śmierci coś z tragicznego optymizmu, kiedy dzisiaj oglądamy, czemu ona służyła. Tak jak służyła śmierć tylu innych”.

Przebieg obowiązkowy

Czas kosmowizji

Romuald Wiśniewski: „Przewiduje się, iż w roku 1985 (...) jeden system satelitalny będzie mógł prawdopodobnie przekazywać 220 programów tv kolorowej; telewizja nie będzie miała granic, tak jak dziś nie ma ich radio”.

Puławskie przeciąganie liny

Ireneusz J. Kamiński o kulturalnych problemach Puław: „Dziś społeczeństwo Puław dzieli się na pragmatyków, zajętych umacnianiem swego indywidualnego bytu i myślących w kategoriach matematycznie sprawdzalnych i na szczuple środowisko humanistów”.



Rys. A. Stok

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 27 II 1972 Nr 5 (490)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Krótsza droga do mieszkania

Jerzy Dostatni



Fot. A. Weczer

W OSTATNICH miesiącach ukazało się wiele nowych zarządzeń, rzeczywiście zapalających zielone światło przed budownictwem mieszkaniowym, znacznie ułatwiających wymianę mieszkań, a także częściowo zmieniających dotychczasowe zasady przydziałów mieszkaniowych, zwa-

szcza w spółdzielczości. Nie ma potrzeby powtarzać tu owych informacji za prasą codzienną, chociaż trzeba zauważyć, że zarządzenia te nie są doraźnym łataniem dziur, lecz stanowią wzajemnie powiązaną całość, że mają one wspólny cel: więcej i szybciej.

Zatwierdzony już plan pięcioletni dla województwa lubelskiego prze-

widuje wybudowanie do 1975 roku 27 800 mieszkań w gospodarce społecznej. Dla porównania warto przytoczyć, że w poprzedniej pięcioletce ze środków społecznych wybudowaliśmy 22 736 mieszkań, a w jeszcze poprzedniej —

Dokończenie na str. 6—7

Puławskie przeciąganie liny

Ireneusz J. Kamiński

CZTERNASCIE lat temu Puławy miały 14 tysięcy mieszkańców i na wiele nie liczyły. Dziś Puławy mają prawie 40 tysięcy obywateli i liczą na dalszą rozbudowę Zakładów Azotowych, a może także na inne zakłady przemysłowe, bo liczba kobiet poszukujących pracy jest wysoka, chyba nawet bardzo wysoka. Kiedyś Puławy miały spokój i najstarszy w kraju instytut rolniczy, obecnie miasto szczyli się jednym z najnowocześniejszych kombinatów przemysłowych w Polsce, który dał zatrudnienie pięciu tysiącom ludzi i wyżał lasy iglaste dookoła; karagana, chmiel i kukurydza udają się dobrze, a gospodarze z okolic Baltowa zacierają ręce z radości, bo trawa na ich łąkach rośnie po pas, bezpłatnie nawożona przez związki azotowe, rozpylane w powietrzu. W centrum miasta rosną imponujące wieżowce, nie spotykane w stolicach innych powiatów, w samym środku wznosi się nowoczesnie manierystyczna siedziba rad narodowych obok niej rotunda PKO, w pobliżu karłowate chałupki, które rozpirzy zapewne realizacja konkursu urbanistycznego na wielkie Puławy, zakreślone na obszarze 60 km kwadr. W 54 blokach mieszka-

Dokończenie na str. 4—5

Henryk VIII

Edward A. Mierzwa

Telewizja już któryś raz z rzędu zgotowała swym sympantom okazję do godziwej rozrywki, zaś krytykom... szansę na te kilka groszy, a stało się to za sprawą doskonałego serialu produkcji angielskiej pt. „Sześć ion Henryka VIII”. Po przygodach różnych „świętych”, sadze rodzinnej, dreszczowcu o „oddelegowanym” na Ziemię ducha Hopkirka, mieliśmy znowu okazję do rodzinnych spotkań oglądając na małym ekranie szesnastowiecznego supermana i jego kolejne „ofiary”. Chociaż można i vice versa patrzeć na Henryka VIII jak na ofiarę sześciu kobiet. Większość widzów tak to odbiera, chociaż w XVI wieku nikt nie oceniłby tego, z wyjątkiem zainteresowanych, jako niemoralne czy okrutne.

HENRYK VIII Tudor był królem, a rzemiosło królewskie w tamtych czasach było rzeczą niezwykle trudną, nie dziwny się zatem, bo nawet najwybitniejsze jednostki ulegają zawodowym deformacjom. Dzisiaj także określony styl życia sprawia, że głos nauczyciela zawsze jest podniesiony, pracownik biurowy wcześniej czy później nabawia się angina pectoris, a uczeń noszący tezkę zamiast tornistra będzie miał przez całe życie jedno ramię niższe. Henryka też nie możemy traktować w oderwaniu od jego królewskiego zajęcia i chorób zawodowych, jakie ta specyficzna profesja za sobą pociąga. Był przede wszystkim królem, ale był też mężczyzną o szczególnej osobowości, a to już zabarwia jego dramaty i dodaje tła.

W 1491 r. gdy Henryk przyszedł na świat jako drugi syn Henryka VII Tudora, Anglia była jeszcze krajem mało znaczącym, leżącym gdzieś na końcu ówczesnego świata, dalek europejski horyzont nie sięgał. Było to sześć lat po zakończeniu najkrwawszej w dziejach wyspy wojny domowej, znanej w historii jako „wojna dwu róż”, w której przez trzydzieści lat różni pretendenci do tronu z angielskim spokojem odcinali sobie wzajemnie głowy, mówiąc zapewne

Dokończenie na str. 8



— Czy mogę panią prosić o rękę?
Rys. M. Olszewski



Literatura

✦ Nagrody „Życia Literackiego” za rok ubiegły otrzymali: Stefan Kozicki za cykl reportaży „Delegacja do cyfry”, Michał Sprusiński za książkę „Kadon Bandrowski” oraz prof. Jan Szczepański, autor „Rozważań o Rzeczypospolitej”.

✦ Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się antologia wierszy poetów węgierskich o Polsce. Obejmuje ona utwory powstałe w ciągu pięciu wieków.

✦ Wojciech Zukrowski kończy nową powieść, współczesną pt. „Piłka nad Styksem”. Planuje także książkę dla dzieci.

✦ Nakładem Wydawnictwa Morskiego ukazała się pierwsza polska książka marynistyczna — Marcina Borzymowskiego „Morska nawigacja do Lubeki”. Jest to wierszowana opowieść o połowy XVII wieku.

✦ Również przed 150 laty nakładem drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie ukazał się pierwszy tomik poezji Adama Mickiewicza. Nakład wyniósł 500 egzemplarzy, tytuł bowiem pronominalistów udało się uzyskać przyjacielowi poety, Janowi Czeszowskiemu.

✦ Mija właśnie 50 lat od ukazania się „Wiatru od morza” Stefana Żeromskiego. Wraz z wczelajszą „Wisłą” i późniejszym „Międzyzmorzem” utwor ten stanowi trylogię morską. Pierwszy nakład „Wiatru od morza” w wysokości 10 tys. egzemplarzy rozszedł się w ciągu 3 tygodni i w tym samym roku ukazał się nakład drugi.

✦ Nakładem wydawnictwa „Odeon” w Pradze ukazał się wybór poezji Jana Kochanowskiego tłumaczenia Jana Pilarza i Ericha Šojki. Niemal równocześnie w „Rudym Prawy” K. Pełkianowa zamieściła obszerną sylwetkę Jana z Czarnolasu.

✦ Jorge Amado, który właśnie ukończył 60 lat życia, powiedział w wywiadzie: „Nigdy nie brałem się do pisania o czymś, co zastyszałem. Wszyscy moi bohaterowie pochodzą z mego rodzinnego stanu Baysa. W każdej książce jest urwane coś z moich osobistych doświadczeń, z czego nie wynika, że jest to autobiografia”.

Teatr

✦ Słynny amerykański teatr eksperymentalny „Bread and Puppet” występował w Warszawie, wprowadzony przez Zrzeszenie Studentów Polskich.

✦ Wkrótce zespół wrocławski „Pantomimy” wystawi prapremierę „Melnikier cesarzowej Filisy” w reżyserii i wydaniu scenariusza Henryka Tomaszewskiego. Jest to pantomimiczna bajka o kobiecie i mężczyźnie w naszych czasach. Z innym programem zespół wystąpi w Monachium podczas Igrzysk Olimpijskich.

✦ Uchwałą władz miejskich w Warszawie powołano nowy teatr — „Rozmaitości”, który będzie prowadził działalność na dwóch scenach: STS-u przy ul. Świerczewskiej i dawnym „Rozmaitości” przy ul. Marszałkowskiej. W przyszłym sezonie powstanie jeszcze scena popołudniowa dla młodzieży.

✦ „Złoty” statuetki „Fredry” w konkursie plebiscytu Towarzystwa Przyjaciół Teatru i popołudniówki „Wieczór Wrocławia” na najlepszy spektakl roku ubiegłego zdecydowała większość głosów zwyciężyła sztuka „Pateroster”, wystawiona w Teatrze Współczesnym w reżyserii Jerzego Jarockiego.

✦ Pod hasłem „Człowiek — świat — polityka” w dniach 25—30 marca odbędzie się w Szczecinie siódmy z kolei ogólnopolski przegląd teatrów zawodowych małych form. Po kilkuletniej przerwie wystąpią także teatry jednego aktora.

✦ Z laureatów konkursów recytatorskich utworzono w Poznaniu stałą placówkę rapsozyczno-muzyczną, która ma popularyzować twórczość poetów wielkopolskich. Teatr „Przedśwójce” zainaugurował działalność spektaklami, opartym na tomiku wierszy chłopca-poety Stanisława Neumiera ze wsi Gulcza w powiecie Czarńskim.

✦ Maciej Zenon Bordowicz napisał dwie sztuki: „Sala gimnastyczna” i „Oltarze”, a w chwili obecnej pracuje nad powieścią „Orkiestrant”, opartą na własnym scenariuszu telewizyjnym, który otrzymał drugą nagrodę na konkursie z okazji 25-lecia PRL.

✦ Autor popularnej sztuki „Kapitan z Koepenick” — Carl Zuckmayer ukończył 75 lat. I właśnie pisze nowy utwór sceniczny pt. „Szczurołap”.

✦ Ze względu na deficyt budżetowy w Szwecji zamknięto kolejny teatr. W związku z tym Ingmar Bergman ogłosił trykult, ostro krytykując sytuację kulturalną w Szwecji, a także niski poziom szkolnictwa teatralnego, jak również scen obywatelskich.

✦ Klasyczny teatr japoński „Kubuki” cierpi na powadny brak aktorów mogaćcych grać rolę — kuni. Przyczyną są następujące: przygotowanie do gryszania takich ról trwa przynajmniej dziesięć lat, a ponadto nazwiska aktorów tradycyjnie nie ukazują się w programach.

✦ W ogólnopolskim plebiscycie „Tygodnika Kulturalnego” na najlepszy spektakl Teatru Telewizyjnego w 1971 r. zwyciężyła „Cena” Arthura Millera w reżyserii Janusza Warmańskiego, ze Świdzkiem i Skarżanką w rolach głównych.

✦ W ogólnopolskim konkursie na sztukę laikową pod hasłem „Stop! Dziecko na drodze!” pierwszą nagrodę otrzymała Joanna Bóżycka z Warszawy za sztukę „Stop!”.

✦ Z inicjatywy Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Towarzystwa Kultury Teatralnej w Warszawie powstał tam klub sztuki recytatorskiej „Verbum”.

Sztuka

✦ Minister Kultury w Syrii, Fauzi Kallaj, otworzył w Muzeum Narodowym w Damaszku wystawę polskiej tkaniny artystycznej, pierwszą wystawę o takiej tematyce w Syrii.

✦ W łódzkiej Pałacu Młodzieży ekspozowano wystawę z okazji 150 rocznicy urodzin Cypriana Norwida. Obejmuje ona wiele mało dotychczas znanych dokumentów z życia poety, jego rękopisy, listy, autotypy, a także portret Marii Kalerzys, najpiękniejszej miłości Norwida, wykonany przez poetę.

✦ W warszawskiej galerii Związku Artystów Fotografików czynna jest wystawa Wiesława Zielińskiego pt. „Intymne pejzaże”. Krytyk „Życia Warszawy” określił ją jako polowicza wystawę „Antywenus”.

✦ Trzecia kolejna wystawa — „Wenus 72” — zostanie otwarta w Krakowie 3 maja. Obok wystawy z rązy w tygodniu będą prezentowane przedręca.

✦ Po prześwietleniu reżanem obrazu Van Gogha „Ogród kościelny pod śniegiem” okazało się, że pod nim znajduje się inny obraz tego samego malarza — „Dziewczyna przy kolowroitu”. Może uda się oddzielić oba obrazy.

✦ W Muzeum Historii Niemiec w stolicy NRD otwarto wystawę polskiej grafiki i malarstwa, zatytułowaną „Wojna i pokój”. Wystawa obejmuje 205 prac najwybitniejszych grafików polskich.

✦ W Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie czynna jest wystawa współczesnej grafiki indyjskiej, mimo często ultratagaworskiej formy nawiązującej do dawnych tradycji tego kraju.

Muzyka

✦ Amerykański uniwersytet w Rochester przyznał tytuł honoris causa K. Pendereckiemu. Z okazji wręczenia doktoratu odbyła się w Nowym Jorku prapremiera nowego utworu naszego kompozytora, napisanego na instrument klasyczny z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej — „Partita”.

✦ Z okazji setnej rocznicy urodzin Aleksandra Skriabina w Moskiewskim Konserwatorium otwarto wystawę poświęconą temu wybitnemu kompozytorowi i pianście. Pokazano m.in. Estro-nicowa partyturę poematu „Ekstaza”, która zaledwie przed pół rokiem odnaleziono w Kanadzie.

✦ Po operetkach gilwickiej i warszawskiej z kolei Opera Poznańska wystawiła światowej sławy musical „Człowiek z La Manchy” Mitcha Leigha. W marcu musical pojawił się na łódzkiej scenie operowej.

✦ W roku ubiegłym Polskie Nagrania wydały 100 tytułów płyt.

✦ W Operze Bytomskiej odbyła się premiera „Manon Lescaut” Pucciniego w reżyserii — Gustawa Holoubka. Znamienny aktor zapowiedział, że będzie reżyserował następne opery.

✦ Z udziałem zespołów zagranicznych zakończył się IX Wrocławski Festiwal Muzyki Współczesnej. Ostatni dzień poświęcony był dziełom Tadeusza Bairda.

✦ „Muzyka kreowana” — to cykl koncertów, poświęconych najbardziej awangardowym formom muzyki współczesnej, który wykona w tym roku Filharmonia Narodowa.

✦ Poznańskie Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego w latach 1968—1971 zorganizowało ponad 2300 koncertów, wśród nich wspólnie z Filharmonią Poznańską cykl „Estrady kameralne”. Ostatnią formą popularyzacji muzyki są koncerty stereofoniczne z taśmy.

✦ W operze w Marsylii odbyła się premiera „Diabłów z Loudun” R. Pendereckiego z udziałem chóru radia i telewizji krakowskiej. Przedstawienie uznano za wydarzenie sezonu muzycznego we Francji.

Film

✦ W tym roku w naszych wytwórniach powstanie 71 godzinnych odcinków filmów telewizyjnych, od animowanych po fabularne. W realizacji znajduje się 13 odcinków „Chłopów”, także 13 odcinków „Wielkiej miłości Balzaka” oraz serial „Kopernik”. Jerzy Antczak ma nakreślić cykl oparty na „Nocach i dniach” Dąbrowskiej.

✦ W plebiscycie tygodnika „Film” nagrodę „Złoty kaczki” w grupie krajowej otrzymało „Zycie rodzinne” Zanusiego, w grupie filmów zagranicznych „Oblawa” Arthura Penna.

✦ W jednym z największych kin Wiednia odbyła się premiera „Pana Włodzowskiego”. Tytuł niemiecki — „Die Siebente Geißel” („Siódma plaga”).

✦ Za najwybitniejszy film, wyświetlany we Francji w roku ubiegłym, uznano „Smutek i litosć” — dokument z okresu okupacji hitlerowskiej. Rolę Meliny Mercouri w „Oblecieniu poranka” uważa się za najlepszą kreację aktorską.

✦ Richard Chamberlain, znany nam jako doktor Kildare, grać będzie b. króla Edwarda VIII, obecnie księcia Windsoru, w nowym angielskim serialu telewizyjnym. Panią Simpson ma grać Faye Dunaway.

Różne

✦ 250 tytułów literatury pięknej i naukowej wystawiono we Lwowie w ramach „Dekady książki polskiej”. Najwięcej nabywców zyskały książki Żeromskiego, Sienkiewicza, Krasińskiego i Lema.

✦ 20 sierpnia rozpocznie się doroczny festiwal w Edynburgu. Zaproszenia do udziału otrzymali Penderecki i Lutostawski. „The Sunday Times” pisze, że wkład Polski we współczesną muzykę i dramaturgię jest największy z krajów Europy Wschodniej.

✦ Ministerstwo Spraw Wewnętrznych NIF cofnęło subwencję na rok 1972 Związkowi Pisarzy Niemieckich. W roku ub. subwencja wyniosła 40 tys. marek. Obecnie ZPN będzie musiał ograniczyć swoją działalność, zwłaszcza gdy chodzi o kontakty z pisarzami zagranicznymi.

✦ Fundacja Kościuszkowska w Nowym Jorku zamówiła w Polsce kilkusytnicze nakłady przekładów dziesięciu dzieł polskich, mówiących o dorobku polskiej kultury. Koszt przekładów pokryje także Fundacja.

Lubliniana

✦ Wojewódzkie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki Pięknych liczy 100 członków i wykazuje coraz bardziej ożywioną działalność. W roku ub. urządziło 17 wystaw, w tym wymianę z plastykami Debreczyna. Towarzystwo skupia plastyków-amatorów.

✦ Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej wziął udział w festiwalu folklorystycznym w Agriegoito w Syrii. Przed 13 laty zespół zdobył tam pierwszą miejscę.

✦ Władze powiatowe w Krańniku przy gotowaniu na świętym pierwszym plener plastyków, poświęcony tradycjom partyzanckim powiatu.

✦ W ogólnopolskim konkursie literackim Zarządu Głównego ZNP w dziedzinie prozy I nagrodę otrzymał Zbigniew Strzałkowski za opowiadanie „Krajobraz serdecznie bliski”, w dziedzinie poezji I nagrodę ex aequo M. J. Kawalko, członek Nauzydzelskiego Klubu Literackiego im. Czechowicza w Lublinie.

✦ Wyższa Szkoła Nauczycielska w Lublinie w przyszłym roku akademickim rozpocznie kształcenie nauczycieli-plastyków.

Czytelnicy nie znajdą tu informacji o wspólnych wynalazkach i odkryciach XX wieku. Bo współczesne stulecie to nie tylko wędrowka człowieka po Księżycu, zdjęcia Marsa, magnetowidy, przeszczepianie serc ludzkich. Nie tylko, a więc co jeszcze? Właśnie — przeczytajcie!

Dzieci w tropikach

Co najmniej 20 proc. dzieci, które rodzą się w krajach rozwijających się, umiera przed osiągnięciem jednego roku życia. Tak stwierdza opublikowane w Genewie roczne sprawozdanie Światowej Organizacji Zdrowia i Funduszu Dziecięcego Narodów Zjednoczonych. Sytuacja dzieci w krajach tropikalnych przedstawia się wręcz tragicznie: śmiertelność wśród dzieci Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej jest od 20 do 40 razy większa niż w Ameryce Północnej i Europie.

Większość dzieci pada ofiarą chorób zakaźnych. Prym wodzą takie, jak ospa, gruźlica, jaglica, trąd, framboezja. Na dużą śmiertelność ma wpływ niedożywienie służba zdrowia: w krajach tropikalnych jeden lekarz przypada na 30 tysięcy a nawet na 70 tysięcy (!) mieszkańców (w krajach uprzemysłowionych na 500—1000 mieszkańców).

Fundusz Dziecięcy Narodów Zjednoczonych zorganizował do tej pory oraz odpowiednio wyposażył 12 tysięcy wiejskich ośrodków zdrowia i 38 tysięcy punktów pierwszej pomocy medycznej w krajach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, ale wszystko to jest kroplą w morzu potrzeb.

Prostytucja w Nowym Jorku

Problem prostytucji stał się jedną z najbardziej palących kwestii w Nowym Jorku i w innych miastach amerykańskich. Burmistrz Nowego Jorku — informuje agencja Reutera — powołał do życia specjalną brygadę policyjną, by zwalczać prostytucję na głównych ulicach miasta. Kroki podjęte przez władze miasta mają przeważnie charakter represyjny. Przeciwno temu zaproteutowali uczestniczki dwudniowej konferencji Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Uważają one, że należy najszybciej znieść wszelkie ustawy i zarządzenia skierowane przeciwko prostytutkom. Ustawy te bowiem powodują, że kobieta, która została prostytutką, nie może porzucić swojej profesji i zawsze nosi na sobie piętno przestępstwa. Tymczasem — zdaniem uczestniczek konferencji — przestępstwa nie popełnia kobieta uliczna, ale jej klient — wyrobnik męczyzna. Dlatego też należałoby raczej uchwalić ustawy godzące przede wszystkim w mężczyzn, korzystających z usług prostytutek.

W konferencji wzięło także udział kilka zaproszonych nowojorskich kobiet ulicznych. Zaproteutowały one gwałtownie przeciwko deprecjonowaniu ich zawodu, uważając nawet, że jest on „szczęśliwie godny” dla kobiety. Zgłosiły one postulat, aby Ruch na Rzecz Wyzwolenia Kobiet zorganizował specjalne kobiece zespoły opiekuńcze, które zastąpiłyby sutenerów. Tym samym prostytutki wolne byłyby narażenie od groźby przemocy fizycznej i miałyby świadomość, że „istnieje ktoś na świecie, kto stanie w ich obronie”.

Walka o zęby

W Kanadzie trwa zacięta walka między dentykami a technikami dentyściami o to, która z tych dwóch profesji ma się zajmować wstawianiem sztucznych zębów. Za komplet sztucznego uzębienia płaci się w Kanadzie nawet 500 dolarów!

Do chwili obecnej kanadyjscy dentyści zajmowali się niemal całym procesem zaopatrywania swych rodaków w sztuczne zęby. Oni też dyktowali ceny swych usług podnosząc je stopniowo do takiego poziomu, że większość Kanadyjczyków nie może już sobie pozwolić na uzupełnienie ubytków w uzębieniu. Jednak od kilku miesięcy technicy dentyści zaczęli na własną rękę wstawiać sztuczne zęby i to po cenach znacznie niższych. Gdy dentyści zaproteutowali, technicy zaczęli głosić, że ich konkurenci często zmuszają swych klientów do „leczenia zepsutego uzębienia”, choć w rzeczywistości uzębienie to było w całkiem dobrym stanie. Walka trwa, jednak w jej efekcie dentyści już teraz byli zmuszeni obniżyć ceny swych usług, nawet do 180 dolarów za parę sztucznych szcęk.

Żerowanie na nieszczęściu

We Francji wiele dyskusji wywołuje sprawa pogrzebów. Jak donosi agencja Reutera, i w tej dziedzinie trwa zacięta walka między poszczególnymi przedsiębiorstwami pogrzebowymi, bowiem pogrzeby przynoszą bardzo wysokie zyski. Niemal monopolistyczną pozycję zajmuje prywatna kampania „Pompes Funeraires Generales”, która przy pomocy swych fili rozrzuconych po całym kraju chowa niemal połowę zmarłych Francuzów. W ub. roku zyski tej firmy wyniosły 9 mln franków.

Wspomniana kampania króluje w dużych miastach, natomiast w małych miastach trwa zacięta rywalizacja o nieboszczyków pomiędzy małymi przedsiębiorstwami. I tak np. w Permignon p. Brison, działająca od dawna w branży pogrzebowej, stwierdziła niespodziewanie, że zamowienia kierowane do jej zakładu spadły przeszło o połowę. Po dłuższym śledztwie okazało się, że konkurencyjna firma zainstalowała u niej podłuch telefoniczny i zamontowała aparaty podsłuchowe nawet w... suficie pomieszczeń biurowych. W ten sposób konkurenci orientowali się, kto potrzebuje usług pogrzebowych, i sami oferowali je po niższych cenach.

W Tulonie doszło przed kilkoma miesiącami do prawdziwej bójkii ulicznej między dwiema rywalizującymi firmami pogrzebowymi. A w Fleyming (wschodnia Francja) wybudowano szpital, przy czym znajdował się on równocześnie na terenie dwóch gmin. Zakłady pogrzebowe obu tych gmin walczyły ze sobą o każdego nieboszczyka, starając się udowodnić, że umarł on na ich terenie. Bywały wypadki, że nocą... wykradano ciała na trumnie, okupując ją przez dłuższy czas, aby nie dopuścić do pogrzebu organizowanego przez konkurenta.

Piją nalogowo

W NRF wielotysięczne rzesze młodzieży piją nalogowo, zaś rząd nie przeciwdziała rozpowszechnianiu się tego nalogu — stwierdza „Frankfurter Rundschau”. Wśród 600 tysięcy alkoholiczków w NRF ponad 9 proc. stanowi młodzież poniżej 25 lat. Konsumpcja alkoholu należy dziś do „stylu życia”. Badania wykazały, że tylko 4 proc. społeczeństwa NRF stanowią abstynenci. Z powodu wysokich marż na alkohol w restauracjach, jego konsumpcja przenosi się do „czterech ścian” własnego mieszkania. Co trzeci mieszkaniec NRF codziennie sięga w domu po butelkę.

Możliwości leczenia 600 tysięcy alkoholiczków są minimalne. W NRF jest tylko 29 zakładów leczenia odwykowego, dysponujących 2 tysiącami łóżek. Tylko dwa zakłady są przeznaczone dla młodocianych nalogowców. Można w nich leczyć 30 osób rocznie.

Tragiczna dyskryminacja

W Izraelu spotykają się z dyskryminacją osoby, które według prawnictwa rabinackiego są uważane za pochodzące z nielegalnych związków małżeńskich.

Myriam Langer, 22-letnia Izraelka — pisze francuski tygodnik „Le Nouvel Observateur” — została porzucona przez narzeczonego. Mimo że jest ona pełnoletnia i niezamężna, nie można się z nią ożenić i nigdy nie będzie można. Tak postanowił przed trzema laty Wielki Rabinat. Rezultat — jej chłopiec, zniechęcony próżnym oczekiwaniem, zerwał zaręczyny.

W Izraelu, gdy ktoś jest żydem, ma co najmniej 18 lat i chce zawrzeć związek małżeński, jest to sprawa bardzo prosta. Idzie się wówczas do najbliższego rabinatu, aby otrzymać zaświadczenie, że jest się stanu wolnego i ustala datę ślubu. Gdy ktoś jest muzułmaninem lub chrześcijaninem, zwraca się do kadiego lub księdza. Trudności zaczynają się gdy żyd chce poślubić nieżydówką, lub odwrotnie. Ponieważ w Izraelu nie ma ślubów cywilnych, pozostaje zmiana wyznania przez jednego z partnerów.

Myriam Langer jest żydówką i chce poślubić żyda. Ale... Myriam figuruje od 1956 r. na czarnej liście zarezerwowanej dla specjalnej kategorii żydów-mańzerów. A mańzer może poślubić tylko... innego mańzera. Ewentualnie: według niektórych władz rabinackich mężczyzna otrzymuje czasem dodatkowo „zewolenie na związek z prostytutką lub nieżydówką, która gotowa jest przejść na judaizm; kobiety nie mają nawet tego prawa.

Kim jest ów mańzer? Dosłownie oznacza to „bękart” czyli dziecko urodzone przez kobietę w stosunku pozamałżeńskim, pochodzące ze stosunku kazirodczego lub dziecko kobiety powtórnie zamężnej, lecz nie posiadającej rozvodu z pierwszym mężem według zasad ortodoksyjnego rabinatu. Należy dodać, że potomstwo mańzera skazane jest na pozostanie w tej kategorii aż do dziesiątego pokolenia! To stwierdzenie teologiczne może śmieszyć, ale nie w Izraelu, gdzie rabinat ma monopol na udzielanie ślubów i gdzie farsa szybko zmienia się w tragedię.

Przyczyna samobójstw

Jedną ze specyficznych cech życia rodzinnego w Indiach jest fakt, iż młoda kobieta po wyjściu za mąż jest obowiązana mieszkać w domu swej teściowej, która sprawuje nad nią niemal niekontrolowaną władzę. Kłopoty z teściową są więc jedną z głównych przyczyn samobójstw w Indiach. Według agencji Reutera, w 1969 r. (najświeższe dane) w Indiach odebrało sobie życie blisko 44 tysiące ludzi, co stanowi 7,5 procentowy wzrost z rokiem poprzednim. Na każde 100 tysięcy mieszkańców przypada 8 samobójstw.

Co najmniej 3 tysiące ludzi w 1969 r. odebrało sobie życie właśnie w wyniku kłótni z teściową. Sprawozdanie opracowane przez indyjską policję nie ujawnia, czy z tego powodu więcej samobójstw popełnili mężczyźni czy kobiety.

Inne przyczyny samobójczej śmierci to: zawody miłosne, brak pieniędzy, nieuleczalna choroba. Ale... W 1969 r. odebrało sobie życie aż 1600 studentów z powodu niezdania egzaminów!

Tym razem — nie dinozaury

Korespondent agencji Reutera opisuje wystawę zorganizowaną w styczniu br. przez amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Przez wiele lat muzeum to wystawiało kości przedpotopowych zwierząt, tym razem jednak skupiło uwagę na... wsczech, które, jak się wydaje, żyją w symbiozie z pewnymi grupami młodych Amerykanów. W kilku pomieszczeniach muzealnych odtworzono warunki życia tzw. wspólnot, w jakich żyją amerykańscy hippisi. Pokazano ich brudną i podartą odzież, nigdy nie myte naczynia oraz grzebień używane przez kilkanaście osób. Niski poziom higieny wśród amerykańskich hippisów spowodował, że Stany Zjednoczone przeżyją dzisiaj prawdziwą inwazję wszy, niemal całkowicie wytępionych po wynalezieniu DDT.

W dniu 8 lutego 1972 roku zmarł w Warszawie po ciężkiej chorobie

red. Marian Wawrzycki

długoletni redaktor naczelny „Sztandaru Ludu”, działacz partyjny i społeczny, członek KW PZPR w Lublinie, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi, honorowymi odznakami Za zasługi dla Lubelszczyzny, Zasłużony dla miasta Lublina, a także Medalem 25-lecia Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Cześć Jego pamięci!

Kolegium i zespół redakcyjny „Kamery”

O kilku miesiący przez łamy prasy literackiej przesuwają się tematy, który w skróceniu można sformułować jako „sytuacja literatury”. Oto treści pod tym nagłówkiem poruszane: funkcja społeczna literatury w aktualnym okresie odnowy życia politycznego, specyfika twórczości artystycznej dysponującej środkami odmiennymi od doradziej i płytko pojmowanej skuteczności propagandowej, rola i pozycja pracownika pióra na rynku pracy w PRL, materialna sytuacja pisarza, perspektywa młodej literatury, to znaczy generacji pisarskiej młodszej od tzw. pokolenia „Współczesności”. Szerzej pism poświęciło tym sprawom sporo uwagi, a „Życie Li-

terackie” opublikowało cykl wypowiedzi pochodzących z różnych środowisk literackich w Polsce. Oto orientujący wyznacznik atmosfery, w jakiej był oczekiwany i w jakiej odbył się XVIII Zjazd Związku Literatów Polskich w Łodzi. Czy poruszył całość przedstawną w problematyki? Zauważmy — a odnosi się to nie tylko do Zjazdu łódzkiego — że zgromadził jedną dziesiątą społeczności pisarskiej w kraju i to nie wszyscy z wydelegowanych 113 uczestników mogli zabrać głos, jeśli Zjazd miał się zmieścić w ciągu 2 dni. Mimo to pokłosie dyskusji przyniosło szereg wniosków realnie nawiązujących do wymienionej „sytuacji literatury” i korzystnie wnoszących propozycje określonych rozwiązań. Padł projekt założenia Muzeum Literatury Polskiej, optowano na rzecz prawidłowego rozmieszczenia akcentów w geografii kulturalnej kraju, mówiono o potrzebie powołania Komitetu do spraw czasopism przy ZG ZLP, a nawet podległych organizacji związkowej oddzielnych wydawnictw (książkowego i czasopiśmienniczego), wysunięto potrzebę częstszych wznowień wartościowych dzieł wyczerpanych na rynku czytelnym itp. Jeśli nie wszystkie z przykładowo wymienionych tu propozycji da się zrealizować, świadczą one o aktywnym stosunku do problemów życia literackiego, co

jest wyróżnikiem Zjazdu łódzkiego korzystnym w stosunku do mniej pod tym względem operatywnego jego poprzednika z Bydgoszczy. W przemówieniu Jarosława Iwaszkiewicza został zawarty pewien element dość zasadniczo adresujący do układu stosunków obejmujących twórczość literacką i zasady polityki kulturalnej. Polityki kulturalnej dnia wczorajszego. Autor „Sławy i chwaly” krytycznie odniósł się do tych restrykcji hamujących bezpośrednio tok wypowiedzi artystycznej, z których powodu autor dzieła nie może swoich treści przedstawić wprost, ale posługując się musi poetyką parabol i czy metafory bądź kostiumem stylistycznym retuszującym ostre kontury artystycznego obrazu. W ten sposób zanika smak



W przerwie obrad Zjazdu: od prawej J. Iwaszkiewicz, W. Strydomska, W. Lwow. Fot. CAF

Po XVIII Zjeździe ZLP

Funkcja literatury

Zygmunt Mikulski

dosłowności i aktualnego konkretnego społecznego tak przecież pożądanego, a literacko funkcjonalny szczególnie w tematyce współczesnej. Tu są potrzebne nowe, bardziej odpowiadające dzisiejszym wymaganiom ustalenia na linii pisarstwo — postulat funkcji społecznej — administracja kulturalna i od treści tych ustaleń w dużym stopniu zależy będzie przyszły swobodny rozwój polskiej literatury.

Nie można nie zaakcentować wyraźną uwagę tych słów. Nie jest to zwykły pasus retoryczny. Wynika z wieloletniego doświadczenia i wieloletniej obserwacji warunków towarzyszących pracy literackiej. Przyszłość literatury to kwestia nie tylko talentów, jakie się w niej pojawiają, ale również zaufania, jakiego potrzebuje ze strony społeczeństwa, ze strony jego kierowniczej reprezentacji. Pisarz chce być współwzrostem postaw przydatnych pomysłowej przyszłości swego kraju, ale rola literatury zaangażowanej nie polega na „produkowaniu” zdań i zdań, a ułatwionych artystycznie obrazków przenawiających z naturą o czystością koni. Postępowanie takie rozumia się z celem literatury, ponieważ zamiast problemów i spraw codziennych zasłaniania przynosi powierzchowną ilustrację pozaważoną powodów do refleksji, nie oddziaływać na świadomość czytelnika, który naczytał się wymagać. Zapominamy, jak poważna instancja życia literackiego jest czytelnik. Wychowany w systemie oświaty coraz lepiej w naszym ustroju dostosowanej do wymagań współczesności, ambicjonowany przez nas samych do zyskania coraz wyższego cenzuru wykształcenia, umiemy znaleźć właściwą postawę wobec otaczających go zjawisk nie przylmie dzieł zwolnionych od obowiązku maksymalnej trafności i maksymalnej rzetelności w obrazowaniu jego wrażeń

przykrych doświadczeń autorskich. Kiedy rzeczywiste doświadczenia układają się w linię powodzenia dość zresztą udanie organizowanego przez trafne wyciszenie pola manewru. Czy z kolei wypowiedź na arenie życia związkowego ma wyznaczyć wyłączenie z przesłanek ograniczonych zasięgiem do jednostkowego adresu? W żadnym stopniu! Ale słowo nie uwierzytelnione rzeczywistą sytuacją biograficzną łatwo szybuje w sferę efektownej stylistyki, co uchu odbiorcy jakim takim słuchem społeczno-obywatelskim daje łatwość w pochwyleniu z pewnością retoryki pokrytego dysonansu.

I to również jest spostrzeżenie ze Zjazdu.

Spójrzmy teraz na nasze podwórko. Lubelski Oddział ZLP ostatnio wzrósł się liczebnie. Wyraźniejszy status organizacyjny zyskało Koło Młodych. Istnieje Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, grupa literacka przy Związku Nauczycielstwa Polskiego, istnieje koła twórczości własnej na wyższych uczelniach. Między nimi powinno dojść do ściślejszych kontaktów, a kto wie, czy nie godzi się doprowadzić do powstania jakiejś płaszczyzny współpracy ujętej w ściślejsze ramy organizacyjne. Może na początek coś w rodzaju wspólnego seminarium? Ale to płaszczyzna administracyjna. Meritum sprawy tkwi w tym, aby

młodemu adeptom pióra możliwe najpełniej udostępnić warunki rozwoju ich zainteresowań. Bo trzeba dodać — a to też jest spostrzeżenie zjazdu — że nasze województwo nie może pochwalic się szczególną skłonnością do pomocy literatom i w ogóle stowarzyszeniom twórczym. Pod tym względem zostajemy w tyle za Rzeszowem, a nawet Kielcami, gdzie nie bez przychylności władz dojdzie wkrótce do powstania Oddziału ZLP.

Nie chodzi nawet o mecenat. Chodzi o klimat. Literat, młody literat nie opędy szych potrzeb materialnych pisaniem. Jest to przykrość dotycząca już nie tylko naszego terenu, że działalność twórcza może odbywać się dopiero poza pracą zarobkową, na marginesach wolnego czasu kradzionego odpoczynkowi. Chodzi więc o to, by praca zarobkowa młodego piszącego odbywała się w dziedzinie jako tako zbliżonej do jego zainteresowań. To znaczy nie w zakładach zbożowych, i jeszcze jedno. Trzeba to powiedzieć wyraźnie — aczkolwiek samo postawienie sprawy buchnie eksplozją zdumienia, sprzeciwów i dyskusji. To dobrze. Niech się zacznie o tym mówić. Ktoś, kto wykazuje zainteresowanie pisaniem, rozwijaniem zdolności twórczych, niech w swym zakładzie pracy napotka atmosferę życzliwej uwagi i niech to znajdzie wyraz na płaszczyźnie administracyjnej. Nie chodzi o to, by wolno mu było omijać dyscyplinę pracy. Ale są różne sposoby jej praktykowania. Pozostawmy mu więc więcej samokontroli. Na pewno nie obróci jej w bumelanctwo, bo zainteresowanie, jakie obrał, związane jest ze stawianiem wysokich wymagań. To tylko prowincjonalizm widzi w czynności stawiania liter na papierze

rodzaj beztroskiej zabawy. To praca. W której zainteresowana jest — nie za duże to słowo — przyszłość naszej kultury. Niech i pod tym względem Lubelszczyzna zacznie być widoczna na arenie krajowej.

Potrzebna jest również ściślejsza współpraca między poszczególnymi stowarzyszeniami twórczymi w tym celu, by stały się one bardziej niż dotychczas czynnikami rozwoju społeczno-kulturalnego. To również zapisuje ich legitymację. To przede wszystkim wytworzenie stanu rzeczy, w którym jednostkowe talenty zyskują płaszczyznę kontaktów, kontroli, sprawdzian i dopinaj. Jedno jest pewne: stać nas na trochę więcej, niż zarysowało się to w kształcie obywatelskich, widocznych osiągnięć. Poszukajmy luk w naszym współdziałaniu, w którym przecieka zbiorowa energia. Na pewno się znajda i dadzą usnać. Spróbujmy.

Co zaś dotyczy środowiska literackiego — aczkolwiek rozwój literatury nie odbywa się za pośrednictwem zjazdów — czuje się ono zaatakowane inspirującymi treściami uwewnętrznionymi w pisarskiej społeczności na łódzkim Zjeździe. To korzystne, trzeba przyznać, że życie związkowe już w swym wymiarze organizacyjnym nabiera rumieńców jak również podnięt do twórczego wysiłku. W tym sensie przynajmniej słusność stwierdzenia, jakie padło w czasie pożegnania delegatów, że Zjazd się nie skończył. Nie skończył się — całkiem dosłownie — także przez to, że jednym z jego postanowień jest zmiana statutu, dla którego to celu delegaci spotkają się ponownie jeszcze w bieżącej kadencji.

P.S. Nie sposób pominąć wyrazów uznania dla łódzkich gospodarzy, którzy gościnnie z całej Polski przygotowali tak serdeczne i tak sprawne przyjęcie. Z Lublina było nas czworo. Wszyscy żalujemy, że tylko przez dwa dni.

Polemiki

Bitwa o rynek czy wojna z rynkiem?

Mieczysław Kurzątkowski

Placem boju stało się śródmieście Lubartowa. I to na długo przed wkroczeniem do walki nowoczesnie uzbrojonego mgr. inż. T. Mycka. A wszystko dlatego, że Lubartów ma zabytkowy układ urbanistyczny o szczególnych wartościach, przez przypadek nie wydobytym w dotychczasowych publikacjach.

LITERATURA wymienia Lewartów — Lubartów jako jeden z wczesniejszych przykładów założenia, w którym można dopatrywać się znamion reguł urbanistycznej odbiegającej od stylu średniowiecznych. W dzisiejszym układzie przestrzennym elementy XVI-wieczne przetrwały w rozplanowaniu miasta oraz usytuowaniu rezydencji i kościoła farnego. Główne walory historyczno-przestrzenne zawdzięcza jednak Lubartów przekształceniom XVIII-wiecznym, które w sposób świadomy wprowadzały do odrędnionego układu elementy urbanistyki barokowej. Nie zmieniły one rozplanowania dawnego Lewartowa, lecz w sposób istotny przekształciły układ urbanistyczny w zabudowie i sylwecie. Na krańcach ulicy Lubelskiej powstały nowe monumentalne akcenty — na północy pałac (1733—1747) i kościół farny (1733—1738), od południa zespół kapucyński (około 1741 r.). W pierzejach rynkowych stały barokowe domy, niektóre z bogatymi szczytami.

To, że mamy do czynienia z efektem świadomego kształtowania, ma potwierdzenie w przekazach archiwalnych. Wartości kwalifikujące Lubartów do objęcia szczególną ochroną polegają przede wszystkim

na wyjątkowo harmonijnym powiązaniu w jedną całość przestrzeni rynkowych z niską obudową, indywidualnie ukształtowanego, zespołu farnego i monumentalnego masywu rezydencji. W znacznym stopniu stało się to za sprawą architekta Pawła Antoniego Fontany.

Pierwotne wzajemne relacje przestrzenne, mimo dokonanych już pewnych przeobrażeń, są nadal zachowane. Jest to najpełniej zrealizowane barokowe zamierzenie urbanistyczne wśród miast Małopolski. Jeżeli zważymy teren rozważań do Lubelszczyzny to stwierdzimy, że są tu „podreżnikowe” zabytki polskiej myśli urbanistycznej różnych czasów, jak Frampol, Janów Lubelski, Kock, Tomaszów. Ich wartości prowadzą się jednak obecnie niemal wyłącznie do zachowanego, w formie mniej lub bardziej zniekształconej, rozplanowania ulic i placów. Wśród zachowanych w trzech wymiarach układów urbanistycznych, a więc w pełni swych historycznych walorów przestrzennych, Lubartów zajmuje lokate czwarta — po Zamościu, Lublinie i Kazimierzu. Ale tamte trzy miasta nie są barokowymi.

Wartości te wydobyte zostały w studium historyczno-urbanistycznym, opracowanym w 1967 roku na zamówienie Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej. Wytężnym kon-

serwatorskim tego studium podporządkowali się — choć może bez entuzjazmu — autorzy planów miejscowych zagospodarowania przestrzennego Lubartowa — planu ogólnego i szczegółowego, opracowanych w latach 1966—1968. Projekty tych planów zapewniały respektowanie unikalnych walorów historycznego ośrodka miasta. Przewidywały, że wysokość nowej zabudowy w jego granicach i najbliższym otoczeniu dostosowana będzie do skali tradycyjnej, a w miarę oddalania się od rynku gabaryt będzie podwyższany.

Należy przyznać, że obrona zabytkowej obudowy przyrynkowej oraz istniejących stosunków przestrzennych nie spotkała się z aplauzem mieszkańców Lubartowa. Wręcz przeciwnie. Zabytkowe domy są istotnie zaniedbane, szczególnie w pierzei zachodniej. Perspektywa przeszklonych pawilonów handlowych lub wielokondygnacyjnych bloków na ich miejscu może być bardziej pociągająca. Ale gdyby te domy były po prostu zadbane i gdyby w ich sklepionych izbach skupić odpowiednio usług... Wprowadzenie usług do zabytków jest z pewnością bardziej użyteczne niż budowanie nowych kubatur na te cele. Ale ma też swoje dodatnie strony. Nie tylko ze względów estetycznych, emocjonalnych czy konserwatorskich. Bo jeżeli narzekamy na przykład na złą wentylację i zduch w restauracjach lub sklepach, jest tak wówczas, gdy mieszczą się one w obiektach nowocześniejszych. Ponadto obiekty zabytkowe (choćby ich główny walor sprowadzał się do ich sklepionych) mimo ich użyteczności wzrastają w cenę. Bo jest ich coraz mniej. Jeżeli więc budujemy miasto z myślą o przyszłości, nie wolno zapominać, że w tej przyszłości każda sklepiona stara izba będzie coraz większym rarytatem. Tak jak dziś piwnice pod krakowską wieżą ratuszową, kiedyś będącymi czynnym powozem, i w tej przyszłości cenę się będzie maista, które oparły się uniformizacji.

Projekty planów zagospodarowania przestrzennego zostały w 1968 r. zatwierdzone razem z zawartymi w nich ograniczeniami konserwatorskimi i stały się obowiązującymi dokumentami. Szereg opracowanych później dokumentacji podporządkowanych zostało wymogom konserwatorskim zawartym w planach zagospodarowania przestrzennego.

Aż rozpoczęła się decydująca faza „wojny z rynkiem”. Koncepcja uzupełnienia zabudowy rynku w Lubartowie była tematem swego rodzaju „minikonkursu” zamkniętego. Arch. T. Mycka opracowywał więc swój projekt nie na zasadzie kontrpropozycji lecz współzawodnictwa. W rzeczywistości nie była to jednak

ładna gra. Ujawnia to w swym artykule sam arch. T. Mycka. Jeżeli zawodnik zawiera układ z częścią arbitrow?... Jeżeli jeden z zawodników załatwia dla siebie inne reguły gry?... Zachowanie zawodnika „Inwestprojektu” wobec współzawodniczkich i „Miastoprojektu” wydaje się, delikatnie mówiąc, nieeleganckie. W normalnej sytuacji następstwo od warunków konkursu lub od udzielonych wytycznych dyskwalifikuje projekt. W ewenemencie lubartowskim „Miastoprojekt” został ukarany za dyscyplinowanie i podporządkowanie się udzielonym wytycznym („dyskretnie przemilczając w protokole uczestnictwo w imprezie „Miastoprojektu”). Arch. Mycka zgłasza w końcu swego artykułu „żal” pod adresem kolegi kontynuującego temat w „Inwestprojekcie”. Przypomina się biblijna przestroga: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie”.

W wytycznych nie było żadnego warunku, który wymagałby tworzenia nowych zabytków. Taka interpretacja jest widocznie potrzebna konstrukcji myślowej inż. Mycka. Zresztą cytaty w jego artykule są niekonsekwentne. Ktoż z nich jest prawdziwy? Między „dowiadzaniem się stylu i charakterem” a „nawiązywaniem do układu i architektury zabytkowego Rynku I” jest istotna różnica w treści. Koncepcja opracowana przez „Miastoprojekt”, która uzyskała uzgodnienie konserwatorskie, nawiązywała do „układu i architektury zabytkowego Rynku I”, lecz niczym nie sugerowała zabytkowości nowo wprowadzanych obiektów.

Konserwator zabytków istotnie stawiał veto wobec koncepcji arch. Mycka. Między innymi podnosił nie-realistyczność koncepcji. Uważał, że w Lubartowie nie będzie w najbliższym czasie warunków, by podjąć budowę tak dużych kubatur. Wyrażał obawy, że ze śmiałości koncepcji może pozostać jedno — naruszenie równowagi przestrzennej, zatracenie historycznej skali ośrodka zabytkowego. Ze koncepcja arch. Mycka może stać się koniem trojańskim, którym wjedzie do Lubartowa pięciokondygnacyjny stereotyp.

I tak mogłoby się stać, gdyby przyszło do sygnalizowanej w artykule T. Mycka budowy pięciokondygnacyjnych — a więc nijakich — obiektów w strefie ograniczeń konserwatorskich. Jaki byłby to efekt, można sobie wobrazić patrząc na osiedle na wprost pałacu lubartow-

skiego, realizowane na podstawie projektu z 1962 roku. Też pięciokondygnacyjne. Wprowadziło ono dysonans w barokowej osi widokowo-komunikacyjnej założenia pałacu, zmieniając aleję prowadzącą do Kozłówek w jednostronnie zabudowaną ulicę. Ukształtowanie osiedla koliduje z historycznym układem, a bloki swą wysokością przerastają rażąco tradycyjną skalę miasta w jego historycznym jądrze.

Tak więc architekt T. Mycka, zrekompensować wojnę o rynek jest wojną z rynkiem. Może wbrew jego dobrym intencjom. Ale nimi ponoć piekło jest wybrukowane.

Sprawa lubartowskiego rynku ilustruje pewne zjawisko rozleglejsze a niebezpieczne dla zabytków i historycznych struktur przestrzennych. Droga od koncepcji do realizacji jest bardzo odległa w czasie. W samej procedurze skreślenia zabytku z rejestru i jego rozbrania biera udział bezpośrednio w tym akcie zaangażowani: inwestor, prezydent rady narodowej, wykonawca, konserwator, Ministerstwo Kultury i Sztuki. Mało kto już wówczas pamięta, że los zabytku przesądził znaczenie wcześniej projektant w zacięciu pracowni. Na przykład wówczas, gdy opracowując projekt realizacji osiedla wszedł z obrębem przyszłego bloku mieszkalnego na istniejący zabytek i rejestru zabytek. Wyszary, że złożył się do zabytku na odległość niedopuszczalną przez prawo budowlane. Wbrew ustaleniom obowiązujących planów zagospodarowania przestrzennego. Inwestora, który zobaczył taką możliwość narysowana reka architekta, nie nie powściągnął przed preta przeciw zabytkowi. Koncepcja może nie dojść w całości do skutku, ale zrealizowana zostanie w tym jednym elemencie — zniszczenia zabytku.

W ten sposób projektant w pracowni skazał niedawno na zniszczenie w Bilgoraju ostatni, unikalny na Lubelszczyźnie, kompletnie zachowany przykład siedziby mieszczańskich, warstw nader charakterystycznej w przeszłości dla miast naszego terenu.

Koncepcja lubartowska Tadeusza Mycka ma charakter zdecydowany. Taka koncepcja — po jej realizacji ma szansę stać się ekwiwalentna dla utraconych zastanych wartości przestrzennych i zwać uznaniem. Ale jeśli zamiast urzeczywistnienia śmiałej koncepcji rezultatem „wojny z rynkiem” ma być uniformizowana nijakość...

Wśród wyrażanych bitew istnieją także wyrusowe zwycięstwa

Paweł Niewinny i jego oddział

Henryk Mioduchowski

Te historię należy opowiadać jak najprościej — od początku. Bo też w tamtych złożonych czasach była to jednak historia stosunkowo prosta, aczkolwiek dla jej głównego bohatera zakończona tragicznie. Pawłowi Niewinnemu przypadł zrazu los typowy dla wielu zwykłych żołnierzy kampanii 1939 roku. Syn chłopski, urodzony w roku 1917 w Bystrzycy Starej (pow. lubelski), brał udział w walkach z Niemcami jako kapral Wojska Polskiego. Ranny pod Ilowcem, dostał się do niewoli, skąd po wyleczeniu uciekł, aby wrócić do rodzinnej miejscowości. Pierwsze lata okupacji spędził jako pracownik spółdzielni w pobliskich Piotrowicach. Kończy też sławną szkołę spółdzielczą w Zakrzówku. Nawiguje kontakty z późniejszymi działaczami PPR, lecz jego droga do ruchu komunistycznego rozpoczyna się, jak dla wielu innych wtedy, od przystąpienia do BCH.

Już w roku 1942 próbuje zorganizować grupę bojową, która stanie się załogą przyszłego oddziału AL. Stefan Przybyła, Czesław Pietrzak, Bronisław Klimek, Stanisław Grzesiak, Edward i Stanisław Tudrujowie oraz Lucjan Wideryński. Oprócz tego ostatniego wszyscy 17-19 letni wówczas chłopcy, synowie okolicznej biedoty wiejskiej, i może to przesądzało o coraz bardziej lewicowym charakterze grupy, tak samo jak kontakty z Wiktorem Srodkiem, byłym KPP-owcem.

W każdym razie kiedy w czerwcu 1943 roku lubelski KP PPR na swym pierwszym posiedzeniu postanawia utworzyć oddział bojowy GL, to właśnie Paweł Niewinny ma zostać dowódcą owego oddziału. Wiadomość o tym dotarła do przywódców NSZ w Piotrowicach. Nie powiódł się wprawdzie dwukrotny zamach na

Niewinnego, lecz akcja NSZ opóźniła powstanie oddziału GL. Nie było broni pod dostatkiem, żeby skutecznie walczyć nie tylko z Niemcami, lecz i z dobrze wyposażonymi bojówkami rodzimej reakcji.

Na początku roku 1944 Niewinny wstępuje do PPR. 13 maja dostaje polecenie zorganizowania oddziału AL i poprowadzenia go do lasów lipskich, gdzie miał nastąpić zrzut broni. Oddziałowi nadano imię Bartosza Głowackiego, a jego dowódcy pseudonim „Bartosza”. Próbę poprzednio utworzonej grupy młodzieżowej po broń wyruszyli: Jan Kańczugowski (mianowany przez „Bartosza”-Niewinnego szefem oddziału), Władysław Kańczugowski, Stanisław Zdebel, Józef Drellich, Wacław Jarski, Jan Mendel i Władysław Korzeniowski. Uzbrojeni — jak na razie — w 4 karabiny, 2 pistolety i jeden granat. W Woli Gałęzowskiej dołączyli do nich ludzie z współpracującej z AL placówki BCH pod dowództwem Kazimierza Mularczyka („Wulkan”), uzbrojeni w 10 karabinów (po 20 sztuk amunicji na jeden karabin) i 2 pistolety.

Dzięki pomocy ówczesnego komendanta rejonowego AL Zygmunta Mazurka („Sokola”) docierają wreszcie na miejsce zrztu broni. Po drodze serdecznie gościli ich nawet dziedzie okolicznego majątku, sądząc, że ma do czynienia z oddziałem... AK. W lasach lipskich spotkali duże ugrupowanie partyzantki polskiej i radzieckiej. Ponieważ na zrzut przyszło czekać dwa tygodnie, spożytkowali ten czas na naukę taktyki walki partyzanckiej, posługiwanie się nowymi rodzajami broni, pracy minerskiej. Przyspieszony kurs wojskowego przeszkolenia, prowadzony w warunkach leśnej konspiracji.

Zrzut broni dla oddziału był pokazny: 11 automatów PPsz z 7 tysiącami sztuk amunicji, 1 MP (1,5

tysiąca sztuk amunicji), pistolet TT, 1 LKM, 5 karabinów (5 tysięcy sztuk amunicji oraz 50 kg trotylu). W tamtych warunkach to raczej dużo. Nastąpił teraz szybki wymarsz w okolice Bystrzycy, tym szybszy, że wokół lasów lipskich zawierał się już pierścień wojsk niemieckich. Po drodze, w Studziankach, oddział „Bartosza” przekazał część broni ludziom grupy „Wulkan”, która wróciła do Woli Gałęzowskiej. Przebijając się dalej, grupa „Bartosza” musiała dla zatarcia śladów wyprzeć się dwa konie, prowadząc je osobno, a wóz niosąc na własnych barkach przy przechodzeniu przez torę kolejową.

W połowie czerwca 1944 roku oddział AL „Bartosza”-Niewinnego, liczący 18 dobrze uzbrojonych i nieźle przeszkolonych ludzi, rozpoczęła w powiecie lubelskim swoją partyzancką działalność, swoją „małą”, ale skuteczną przeciwko wojnie z okupantem, aczkolwiek z początku nie wszystko szło całkiem gładko. Pierwsza akcja minerska nie powiodła się, bo ładunek nie wybuchł i pościg niemiecki przebiegał bez szwanku. Dopiero próba wykołowania transportu wroga koło Sobieszczan całkowicie udała się, choć minę przyszło w ostatniej chwili „zrywać”... pożyczonymi błyskawicznie lejcami. W każdym razie przerwa na tym odcinku toru trwała przeszło 10 godzin.

W pierwszych dniach lipca na stanowisko komendanta powiatowego AL został powołany Jan Skrzypek („Kotwica”), pełniący równocześnie obowiązki zastępcy komendanta lotnego oddziału BCH, dowodzonego przez Józefa Wilczka. W związku z tym grupa „Bartosza” i oddział lotny BCH dokonali kilku akcji wspólnie. Między innymi na tzw. legaschafy, majątki pod zarządem niemieckim. Po jednej z takich akcji „Kotwica” ujawnił się



Siedzą w mundurach: Paweł Niewinny — „Bartosza” (z prawej) oraz Jan Skrzypek — „Kotwica” (z lewej), w środku Józef Wilczek (zdjęcie archiwalne)

przed ludźmi z BCH jako komendant AL powiatu lubelskiego i wraz z dziesięcioma BCH-owcami wzmocnił grupę „Bartosza”. Odtąd — zgodnie z poleceniem sekretarza KP PPR Pawła Dąbka — grupa ta zabezpieczała w terenie wiecie propagandowe, neutralizowała siły NSZ, nie rezygnując z walki z Niemcami.

19 lipca 11-osobowa grupa z oddziału „Bartosza”, dowodzona przez Władysława Korzeniowskiego, rozbroiła 32 żołnierzy niemieckich, nie ponosząc żadnych strat własnych i zdobywając 1 LKM, 2 Dięgiarowy, 1 MP, 3 pistolety, 24 karabiny, 10 granatów oraz mapę. Do powodzenia tej akcji przyczynił się też oddział AL, dowodzony przez „Cienia”. W ogóle trzeba powiedzieć, że dzięki współdziałaniu z istniejącymi w terenie grupami AL oraz szybkim zmianom miejsc pobytu, ludzie „Bartosza” właściwie nigdy nie dali się zaskoczyć Niemcom i operując niewielkimi przeciętymi siłami, neutralizowali licznějších nieprzyjaciela. Tak było 24 lipca, kiedy to dzięki przytomności umysłu wartownika, Stanisława Tudruja, oraz czujności całego oddziału, wzięto do niewoli, a następnie przekazano Armii Czerwonej, 60 żołnierzy niemieckich. Inna sprawa, że wtedy już nie hitlerowcom było zaskakiwać partyzantów, lecz odwrotnie...

W tej historii, prostej przecie i bardzo nieefektywnej, historii małego w końcu oddziału AL, który nawet jak na warunki partyzanckie nie stoczył jakichś większych czy choćby tylko słynniejszych potyczek z nieprzyjacielem, w tej więc

historii nie idzie o wymienianie wszystkich zasług wojennych oddziału, choćby licznych akcji niszczenia placówek „niemieckiej gospodarności” na ziemiach polskich. Idzie natomiast o to, by pokazać fragment przeciętnej, niejako codziennej walki, którą toczyła Armia Ludowa. Aczkolwiek i w tym fragmencie codzienności wojennej tkwi element niezwykły.

Oto przecie oddział „Bartosza” rozpoczynający walkę zaledwie z 18 ludźmi i prowadzący ją zaledwie 40 dni, zdołał wyeliminować 100 żołnierzy nieprzyjaciela, samemu nie ponosząc żadnych strat. Następnie — jako bodaj jedyny z oddziałów partyzanckich w pełnym składzie osobowym i z bronią — zgłosił się do dyspozycji PKWN w wyzwolonym Chelmie, a cetero jego członkowie (Czesław Pietrzak, Jan i Władysław Kańczugowscy oraz Kazimierz Kmieć) pełnili jedne z pierwszych wart przed gmachem PKWN. Pełnili te warty prości żołnierze, członkowie najzwyczajniejszego, jednego z wielu, oddziału. I fakt ów pokazuje ostateczny sens walki, do jakiej przyszło pokoleniu PPR-owców w czasie okupacji przystąpić.

I jaką im przyszło po wyzwoleniu toczyć. Tu przypomnijmy, że relacjonowana historia oddziału to także historia jego dowódcy — „Bartosza”. Kiedy Jan Skrzypek („Kotwica”) został bezpośrednio po

Dokończenie na str. 11

Puławskie przeciąganie liny

Dokończenie ze str. 1

pracownicy Zakładów Azotowych, zajmujący ponad 4 tys. lokali. Przy końcu lat osiemdziesiątych liczba mieszkańców Puław osiągnęła 75-80 tysięcy, a niektórzy sądzą, że znacznie więcej. W mieście działają trzy instytuty naukowe, dwie filie wyższych uczelni i jedno Liceum Ogólnokształcące im. Czartoryskich. Społeczno-ekonomiczny rozwój Puław można określić jako dynamiczny.

Przed dyrekcją Zakładów Azotowych stoi metalowa rzeźba, pomalowana na fioletowo. — Co to jest? — pyta kierowca. — To jest rzeźba Japończyka Jo Oda, który w roku 1966 uczestniczył w I Ogólnopolskim Sympozjum Plastyków i Naukowców w Puławach, odbywającym się na terenie kombinatu. — Ale co to jest?

W sekretariacie zastępcy dyrektora kombinatu wisi obraz złożony z czarnych i białych prostokątów — praca Ryszarda Winiarskiego, może nawet „Obszar dla którego program stanowił fragment reprodukcji obrazu El Greca. Źródło zmieniane losowej — tablica liczb przypadkowych”. Za zestaw podobnych „obszarów” autor otrzymał nagrodę główną Sympozjum, co było symbolicznym potwierdzeniem przymierzania sztuki nowoczesnej z nauką. „Laureat” wisi dziś skromnie w małym kantorku, prawie go nie widać, nikt nie wie, kto „to” zrobił, nie wzmianka pamięci nawet fakt, że Winiarski jest absolwentem Wydziału Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej, co jakoś koresponduje z wysokotechnicznym kombinatem.

Na ścianie dyrektorskiego gabinetu krąsnię „Jarzębina” artysty Kmita, czyli szkicownik widocznego kazimierski z odpowiednim drzewkiem i damą ujętą od tyłu, jeden z tysięcy wypodukowanych przez tego pracowitego malarza.

— Część prac powstałych podczas Sympozjum to dzieła wartościowe, Zakłady zakupiły 15 sztuk, wiszą w budynku dyrekcji i w naszym domu wypoczynkowym w Jaszowcu. Ale profil imprezy był zły, nie dostosowany do środowiska, za dużo było wyglupu, przeleżał pan wie — mówi dyrektor Ryszard Towalski. — Przy plenerze „Kazimierz 71” pomogliśmy jednak i w przyszłości będziemy pomagać. Nie, żadna dokumentacja nie zachowała się po Sympozjum.

Dyrektor Towalski ma rację, nic się nie zachowało po wydarzeniu artystycznym o skali europejskiej. Szczepowcy Ryszard Towalski wie o tym najlepiej, albowiem on właśnie stworzył zaczątki archiwum miejskiego, jeszcze w 1963 roku przy pomocy harcerzy z drużyny przyszkolonej zaczął gromadzić wycinki prasowe, fotografie i dokumenty związane z Puławami. Początkowo całe archiwum mieściło się w dwóch szafach, nie korzystało z usług „Globu”, dziś zajmuje dwa pokoje w nowym gmachu rad narodowych i przysięga się do skatalogowania zbiorów, całkiem już zasobnych.

Mgr Kazimierz Dmowski pracuje dziś w bibliotece „Błowetu”, wytwórni biopreparatów, w czasie trwania Sympozjum był kierownikiem Wydziału Kultury PPRN i dobrze się przysłużył imprezie, po czym został odwołany ze stanowiska.

— Poza rzeźbami i obrazami śladu nie ma po Sympozjum w Puławach, niepowołana to strata dla naszego środowiska, sądząc, że trzeba powrócić do idei tego spotkania, wszystkie zakłady puławskie winny partycypować w jego organizacji. Sympozjum „skończyli” ludzie niekompetentni, nie mający pojęcia o sztuce współczesnej i jej prawidłowościach rozwojowych, rozpuszczali plotki, że kosztowało Zakłady 600 tysięcy, nie miastu nie dało, lansowało sztukę, której państwo popierać nie może. Zamilkli, kiedy odwołalem się do artykułu Szymona Bojki w „Nowych Drogach”, stawiającego Sympozjum za bezprecedensowy wzór socjalistycznego mecenatu

przemysłowego nad twórczością artystyczną. I na tym koniec, tyle że długo jeszcze szkalowano byłego dyrektora Zakładu, inicjatora imprezy, jakoby zorganizował ją dla dobra własnej kariery.

W pobliżu przystanku autobusów dzień w dzień odwołujących i przywożących półtora tysiąca pracowników Zakładów Azotowych, zamieszkałych w okolicznych wsiach i osadach, znajduje się biblioteka związkowa z małą czytelnią. Dobry to punkt, ludzie czekający na autobusy wpadają na pół godziny do ciepłego pomieszczenia, gdzie mają do dyspozycji 40 tytułów prasy — „Kamery” nie ma, bo to pismo lubelskie — oraz 11 300 książek; te w jednakowych, szarych okładkach nie przyciągają uwagi tak mocno, jak pozostawione w barwnych obwolutach. Łącznie z punktami bibliotecznymi w Jaszowcu, dwóch hotelach robotniczych i świetlicy — 2700 czytelników korzysta z księgozbioru, a jest to liczba wysoka. W ubiegłym roku biblioteka zanotowała 31 tysięcy wypożyczeń — bardzo dużo. Do 1 stycznia 1972 r. w tej tak zasobnej i licznie odwiedzanej placówce pracowała jedna osoba, Wanda Cieślak; obecnie pomagają jej dwie panie, co nierzadko kwitowane jest retorycznym pytaniem: „po co aż tylu ludzi?”

Największą poczytnością cieszą się lektury szkolne, jako że wielu pracowników dokształca się. Najczęściej korzystają z księgozbioru robotnicy i osoby ze średnim wykształceniem, którzy cenią przede wszystkim książki tematycznie związane z drugą wojną światową, historią w ogóle, romanse i „kryminały”. Rządziej odwiedzają bibliotekę inżynierowie proszą o dzieła „lekkie, krótkie i współczesne”, czemu się dziwić nie należy.

— Nie dziwię się, że ludzie nie przepadają za sztuką awangardową, trudną w odbiorze, wymagającą pewnego wysiłku intelektualnego. Czasy teraz takie nerwowe, te zawały. Wczoraj 60 osób pojechało od nas do Warszawy na „Nasze szaleństwo” w „Syrenie” i wrócili zadowoleni — dopowie przy innej okazji Waldemar Bednarski, kierownik Wydziału Kultury PPRN, który staje na głowie, aby tzw. koordynacja pracy ko. stała się rzeczywistością. W tym celu poszerzył do 12 osób — przedstawicieli domów kultury, bibliotek, muzeów, Towarzystwa Przyjaciół Puław — Kolegium Wydziału oraz powołał Radę Programową. Przy dwuosobowej obsadzie Wydziału Kultury nie ma co marzyć o sensownej koordynacji — bez takiego rozwiązania.

Pracownicy „Azotów” i Inteligencja miasta Puławy, które na przełomie XVIII i XIX wieku stało się ośrodkiem kulturalnym o randze ogólnokrajowej, w czym służyła książecznej i świetnej reporterki, Izabelli Czartoryskiej, po kulturalne pokrzywienie udają się do magazynów stołecznych i do wojewódzkiego Lublina. Owe wyprawy do źródeł przynoszą wielorakie korzyści: te,

które daje „Wiedeńska krew” — Klub Seniorsa przy PDK wie o tym najlepiej — te, które wiążą się z zaopatrzeniem warszawskich sklepów, oraz te, które można spożytkować w rozmowach towarzyskich, prestiż podnoszących. Idea społecznego egalitaryzmu wcielona w rzeczywistość wyczerpana bowiem przedziwne wołty; w eleganckim klubie „Chemika” — „pierwszej kategorii, pierwszeń” — nie podają piwa, bo w dniach wypłat czerń jakowa obsiadła wytwórny przybytek, otwierany o godzinie piątej po południu.

Mówi się, że wyposażenie Puław w placówki kulturalne jest niedostateczne. Prawda. W kilku klubach dzieje się to, co się dzieje we wszystkich powiatowych klubach w Polsce — gra się towarzysko, czyta prasę, ogląda telewizję, zgaduje się, czy miasto ma szansę być ogniskiem życia kulturalnego; tylko jedna z tych placówek nastawiona jest na pracę z młodzieżą, liczną i niesformą.

Skromną częścią tej młodzieży zajął się półtora roku temu niejaki Jerzy Leszczyński, który służył wcześniej w Pantomimie Wrocławskiej Tomaszewskiego, a tu, na puławskim gruncie, zamierzał mistrza przebić. Zorganizował więc Pantomim Puławski, ćwiczył ją straszliwie ów przybłąda. „Dosyć importu dyrektorów i kierowników” — mawiali do niedawna starzy puławianie, lecz Leszczyński miał włosy do ramion i nie słyszał. Poza tym nosił na piersiach medale, a z czasem meldował się tu i ówdzie, no, musiał się meldować. Ale dalej ćwiczył, aż zaczęto pisać w prasie krajowej o tym fenomenie, zrodzonym w powiecie. Nawet grupa Naczelnej Izby Kontroli, która trafiła na inspekcję do PDK, gdzie Leszczyński ćwiczył, wpadła w trw. zachwyty po obejrzeniu próby, zalecając władzom finansowanie i popieranie zespołu. A potem jednemu z członków Pantomimy pękły portki na d... w czasie występu na akademii, co zamiast w kategoriach krawieckich, w politycznych interpretowano. Następnie skończyły się finanse i skończyła się zabawa w Pantomimie, twór diabelski — jako że tylko do diabła mogą ciągnąć dziesięćdziesiątkańskie urody i tacy chłopcy. Równocześnie pani J., kierowniczka PDK, została zwolniona z pracy.

Powiatowy Dom Kultury w Puławach od 1948 roku zajmuje budynek należący do Banku Spółdzielczego, któremu rocznie płaci 100-tysięczny czynsz. Jest to obiekt stary, poza PDK mieści również kino „Nysa”, ogrzewane rozwalającym się piecem co. Dwie salki na piętrze ogrzewa po sąsiedzku restauracja „Puławianka”, wspomagająca równocześnie pedekowska salę wystawową bukietem kuchennych zapachów i ciepłym przebiegającym tamtędy kominą; innych grzejników sala ta nie posiada. Budżet roczny PDK przekracza 1 100 000 zł, co starcza na osobowy fundusz plac i wydatki rzeczowe, m. in. na utrzymanie samocho-

Głosują po raz pierwszy...

„Sprawom młodzieży chcemy poświęcić w przyszłości więcej uwagi” — pisaliśmy w grudniowym (26) nrze „Kamery”. Teraz po dwóch miesiącach, w przededniu wyborów do Sejmu PRL, zaprosiliśmy do redakcji Romualda Kolodzieja, ucznia Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych i Bogdana Mazurkiewicza, ucznia Technikum Mechaniczno-Energetycznego. Oboj mają po 19 lat, oboj po raz pierwszy pójść do urn wyborczych. Jakimi problemami ich nurtują? Co myślą o dniu dzisiejszym i jutrzejszym Lublina, kraju? Jak oceniają ostatni rok? Czego spodziewają się po nowym Sejmie? Z dość chaotycznie, na gorąco wypowiedzianych poglądów staramy się — przeluszczając taśmę magnetofonową — przedstawić myśli naszych rozmówców.

ROMUALD KOŁODZIEJ:

— Zaczę od najbliższych planów. Chciałbym bardzo, aby doszło do skutku Biennale w Świdniku, gdzie stałe mieszkam i skąd dojeżdżam do szkoły w Lublinie. Jest nas grupa zapaleńców. Dyrekcja WSK w Świdniku obiecała dać nam ziom, fachowców-spawaczy. Wspólnie, według przygotowanych przez nas projektów, będziemy robili rzeźby metaloplastyczne. Chcemy stworzyć taki mały Elbląg, który słynie z tego rodzaju inicjatyw.

— Pyta pan, dlaczego wybrałem plastykę jako kierunek edukacji? Hm... Początkowo myślałem o biologii. Chodziłem do Liceum nr 1 w Elblągu i tam spotkałem profesora Tomczyka, który w ciągu półroczka tak mnie „zaraził” sprawami plastyki, że zmieniłem szkołę. Straciłem rok, ale nie żałuję. Sporo pracuję społecznie w świdnickim klubie, robię wszystkie dekoracje, prowadzę koło plastyczne. Lubię moje miasto. Powstało ono po wojnie, ma tyle lat, co i ja. Mogę powiedzieć, że rosłem razem ze Świdnikiem. Moja rodzina ściśle się związała z Wytównią Sprzetu Komunikacyjnego. Ojciec, dziś już na rencie, był ślusarzem narzędziowni, brat jest zatrudniony przy montażu śmigłowców, matka też pracuje w WSK. Ja mam w planie ukończenie studiów plastycznych i... powrót do Świdnika. Tu chcę stworzyć mały

ośrodek kulturalny. Nie negi mnie Warszawa, pragnę pozostać na własnych śmieciach.

Nie ja jeden ze Świdnika uczęszcza do Liceum Sztuk Plastycznych. Jest nas około dwudziestu. Nie wiem, czy wszyscy zamierzają powrócić tu na stałe, ja twierdząc ostatecznie przy swoich planach. Chciałbym też pracować w WSK przy formach przemysłowych, albo dekoracjach, w domu kultury, klubie. Wszędzie można wykazać inicjatywę i znaleźć pracę, która naprawdę będzie i interesująca i pożyteczna. Świdnik pod względem plastycznym jest bardzo ubogi. Tym sprawom nie poświęca się wiele uwagi, a przecież młode, socjalistyczne miasto powinno dawać przykład, uczyć estetyki.

— 19 grudnia po raz pierwszy pójść głosować na kandydatów Frontu Jedności Narodu. Nie lubię wielkich słów, choć w pełni zdaję sobie sprawę z wagi tego wydarzenia. Ludzie, których wybieramy, których obdarzamy mandatem zaufania, nie będą mieli lekkiego życia. Trzeba sprawiedliwie dzielić, to, co sami wypracujemy, a przecież potrzeby są coraz większe. Wiele się dzisiaj pisze i mówi o budownictwie mieszkaniowym. Dobrze, że władze doceniają ten problem. W Świdniku stanęło wiele nowych domów, ale iu jeszcze ludzi mieszka kątem, iu płaci olbrzymie sumy za stancję czy pokój sublokatorski? Ja rozumiem, że trzeba było budować, budować szybko, ale czy nie za dużo tych usterek w naszych mieszkaniach? A ludzie jeszcze sami dewastują! Jak wyglądają klatki schodowe? Powyrywane kontakty elektryczne, rysunki na ścianach, nieprzyswoite wyrazy. Sami utrudniamy sobie życie, a potem o własne niechlujstwo oskarżamy Bóg wie kogo. W naszym klubie nie ma bodaj dnia, aby nie trzasła jakaś szyba.

Słyszy się narzekania na młodzież, że taka, siaka. Prawda, sporo jest lobuzów, ale moim zdaniem sami rodzice za mało dbają o wychowanie swoich dzieci. Młodzież walęsa się po schodach, strychach, piwnicach. Gdy się znajdzie ktoś ze starszych, kto umie ją zainteresować, są efekty.

Organizacja ZMS może tu wiele zmienić, ale ona sama, bez pomocy społeczeństwa nie podola. A zdarsza się, że rodzice nie doceniają roli organizacji młodzieżowej. Moim zdaniem, każda instytucja powinna prowadzić jakąś działal-

ność kulturalną. Podkreślam — każda. Są przecież fundusze, jakie często niewłaściwie wykorzystane. Organizuje się wyjazdy na przedstawienia operetki. Nie stać mam przeciwko operetce, ale przecież pięciadzieć można by wykorzystać na miejscu, zakupić sprzęt sportowy, urządzenia do klubów, opłacić instruktora, który nie tylko odświeżyłby swoje godziny pracy, ale potrafił zainteresować młodzież.

W nowym Sejmie będziemy mieli i przedstawicieli młodzieży. Liczymy na nich. Liczymy, że będą naciskać na rząd, aby było więcej miejsc pracy, aby każdy absolwent technikum, liceum czy szkoły wyższej mógł znaleźć zatrudnienie zgodne z nabytymi kwalifikacjami. Są dziewczęta, które ukończyły średnią szkołę, a pracują jako gońcy. Czy nie szkoda było tylu lat nauki? Jeśli liceum ogólnokształcące nie przygotowuje do zawodu, to nasuwa się pytanie: może tych liceów jest za wiele? Może organizować więcej technikum? Nie wszyscy przecież absolwenci wyższych uczelni dostają się na wyższe uczelnie. Dzisiaj matura niczego w praktyce nie daje. Może więc dla tych, którzy nie dostali się na wyższe uczelnie, organizować szkoły pomaturalne? Takie szkoły są, prawda, ale chyba ich za mało.

Są jeszcze problemy, wiele problemów, które powinny być zatlawione na niższym szczeblu, posłom nie ma co nim głowę zaprzętać. Weźmy Świdnik. „Sztandar” pisze, że to miasto satelitarne Lublina. Zgoda, ale niedługo łatwiej będzie się dostać na sztuczny satelitę Ziemi niż z Lublina do Świdnika. Z dojeżdżaniem do szkoły nie mam kłopotów. Do Lublina zawozi mnie samochód WSK, ten, który przywozi do zakładu pracowników, mieszkających w Lublinie. Ale jak wrócić, gdy zatrzymam się dłużej w Lublinie? Owszem, podągi są, ale w godzinach szczytu. Później trzeba nieraz długo czekać. Na autobus mnie nie stać, nie zarabiam przecież. Zelektryfikowaliśmy linię z Lublina do Warszawy. Pięknie. Teraz czas na elektryfikację linii Lublin — Świdnik. Wzdłuż linii kolejowej, po wprowadzeniu jeszcze jednego, dwóch przystanków, rozrosłyby się domy, osiedla. Wreszcie Lublin połączyłby się ze Świdnikiem, powstałoby jedno miasto... Pan mówi, że młodzież jest niedoświadczona. Młodzież powinna być taka.

BOGDAN MAZURKIEWICZ:

— Ja też będę 19 marca głosować po raz pierwszy. Szczególnie się cieszę, że to moje pierwsze głosowanie wypadnie po zmianach, jakie w kraju nastąpiły, a które wszyscy odczuwamy. Rząd cofnął podwyżkę cen na artykuły żywnościowe, dobrze że przeprowadza się sezonowe obniżki cen, że handel bardziej myśli o klientach, że producenci wyrobów konfekcyjnych zrozumieli, że społeczeństwo nie składa się tylko z ludzi starszych, że trzeba zadbać i o młodą, inną rzeszę, że niekiedy rosą wśród młodzieży niezdrowe ambicje: ubrać się modnie za wszelką cenę. A przecież młodzież, młodzież szkolna, sama nie zarabia, jest zdana na rodziców. Gdy w rodzinie pracuje tylko matka lub ojciec, jest trudno, bardzo trudno wszystkim dogodzić. A nie każdy to rozumie.

Do niedawna mieszkalem przy ul. Nadbystrzyckiej. To bardzo biedna dzielnica. Ludzie gnieźdzą się w suterenach, wilgotnych mieszkaniach, bez żadnych wygód. Mieszkają tu przeważnie robotnicy. Często rozmawiałem z nimi, przysłuchiwałem się, jak mówią między sobą. Jest teraz znacznie mniej narzekania niż dawniej. Styszy się, że jeśli tak daleko pójść, to w Polsce naprawdę będzie lepiej. Ale trzeba jak najszybciej wyprowadzić tych ludzi z dotychczasowych pomieszczeń. Wszystkie stare domy na Nadbystrzyckiej bym wybuszył. Czytam w prasie, że mieszkania mają otrzymywać ci, którzy ich najbardziej potrzebują. To bardzo słuszne i bardzo proste zarządzenie.

Mój kolega mówił, że bardzo liczymy na młodych posłów w Sejmie. Naszych posłów. Chciałem tu poruszyć problem miesięcznych praktyk zawodowych. Jest to sprawa, nad którą najbardziej dyskutujemy w naszym gronie. Na tych praktykach często nie się nie dzieje, nie przynoszą one żadnych korzyści. Jedyny zakład, który się nami opiekuje i po prostu stara się, abyśmy naprawdę tę praktykę zdobyli, to jest gazownia miejska w Lublinie, w której mamy warsztaty. Tam zawsze są instruktorzy, którzy chcą nas nauczyć jak najwięcej. Jeżeli gdzieś wyjeździemy, na przykład do takiego Gdańska czy Poznania... Szkoda mówić! Najgorzej było w poznańskiej gazowni. Młodzież przychodziła o siódmej, pokreślała się po zakładzie, po biurze i już o ósmej mogła iść do domu, bo nie było co robić. Kierownictwo

zakładu zupełnie się nie interesowało. Potem przy zdawaniu z praktyk są problemy, bo pytają o to, o tamto, a skąd my mamy wiedzieć, jeśliśmy tego w życiu nigdy nie widzieli, czy przy tym nie robili?

Problemem jest też zakwaterowanie w czasie praktyk. Gdzieśkolwiek młodzież mieszka w schroniskach PTTK, gdzieśkolwiek znów w internatach. Wówczas obowiązują warunki internatowe. Gdy przychodzi my po pracy o trzeciej, to nigdzie nie możemy wyjść, bo kierownik internatu uważa, że jeśli zostaliśmy oddani pod jego opiekę, to musi nas pilnować.

Myślę, że w wychowaniu młodzieży, odpowiednim wychowaniu, bardzo pomaga praca kulturalna. W dzielnicach, w której dotąd mieszkalem, zrobiono świetlicę ze starych autobusów MPK. Dopóki ta świetlica działała, a stworzono ją w czynie społecznym mieszkańców dzielnicy, był spokój, nie było stychać o żadnych chuligańskich wybrzydka, nikt nikogo nie zaczepiał, nie było bijatyk. Teraz świetlica jest nieczynna i znowu o dzielnicy nieobroże się mówi.

Ja wiem? Może w mieście przydałaby się jakaś kawiarnia młodzieżowa? Teraz, gdy nauczyciel spotka któregoś z uczniów w kawiarni, to zaraz draka. A my mamy przecież po 19 lat; gdyby nie szkoła, byłibyśmy już w wojsku! Wyobraź sobie taką kawiarnię bezalkoholową, w której nie można by palić papierosów, w której byłaby natomiast strażnica, w której słuchałby się muzyki, potańczyło. Czy to znów takie wielkie marzenia? Posłowie będą mieli poważne sprawy na głowie, będą opracowywać nową konstytucję, wiele problemów trzeba rozpatrzyć, zatławić. Ale przecież w Lublinie są władze miejskie, są radni, wśród nich i przedstawiciele młodzieży. Niech ruszą głową, młodzież chętnie pomoże.

Tak myślą, tak mówią. Jest w tych wypowiedziach jakaś obywatelska troska, są konkretne żądania adresowane i do przyszłych posłów i do ludzi odpowiedzialnych za gospodarstwo województwa, miasta. Młodzież nie zawsze liczy się z możliwościami, nie przeprowadza rachunku ekonomicznego, ale chce, by traktowano ją poważnie. Głosuje. Spełnia obywatelski obowiązek i liczy na to, że przyszłość będzie lepsza, pogodniejsza. Nie jest w tym pragnieniu odosobniona.

Notował:
M. J.

du. W powiecie istnieją 34 kluby „Ruchu” i „Rolnika” oraz 6 gromadzkie ośrodków kultury; gdy się chce do nich dojechać własnym samochodem, trzeba ten samochód wypożyczyć jakiejś instytucji... aby zarobić na benzynie do własnego pojazdu. PDK posiada 8-osobową obsadę, która organizuje odczyty, spotkania, seminaria dla zakładów pracy, wystawy plastyczne i przedstawienia Puławskiego Teatru Amatorów, istniejącego już 22 lata. Przy PDK działają ponadto kluby: plastyczny, fotograficzny, twórców ludowych, teatrzyk lalkowy i zespół muzyczny — skupiające stosunkowo skromną liczbę hobbystów. Największym zainteresowaniem cieszyły się pogadanki na temat muzyki rozrywkowej. Możliwości lokalowe, etatowe i program działalności puławskiego PDK są na miarę miasta — 10-tysięcznego.

Mimo niewiele lepszych warunków lokalowych — typowy budynek gromadzkiego ośrodka kultury — Zakładowy Dom Kultury „Azotów” jest w stosunku do PDK potentatem. Działają przy nim trzy dziecięce zespoły teatru kukielkowego, balet dziecięcy, ognisko plastyczne, zespół tańca ludowego kierowany przez Walczakową z Końskowoli, orkiestra dęta, klub fotograficzno-filmowy, który na niedawnym przeglądzie resortowym otrzymał pierwsze miejsca w kategorii filmów 8- i 16-milimetrowych. Ponadto ZDK rozwija działalność oświatową, m. in. cyklem odczytów „Kartki z podróży”. Jest to placówka otwarta dla wszystkich, zapewniająca realizację osobistych zainteresowań w infantylnych, tradycyjnych i ludowych formach kultury.

ZDK dusi się w aktualnej siedzibie, zespoły depczą sobie po piętach, sala widowiskowa może pomieścić zaledwie 120 osób, przez co np. akademie zakładowe i powiatowe odbywają się w gronie dyrektorów, kierowników etc., a uroczyste i zabawowe wręczanie paczek świątecznych dzieciom pracowników trwa w cyklu dwutygodniowym — bo paczek tych bywa trzy i pół tysiąca.

Okolo roku 1975 sytuacja ta zmieni się diametralnie, wtedy właśnie oddany zostanie do użytku nowy „Dom Chemika”, wielka placówka kulturalna z salą teatralną na 650 miejsc, z salonek wystawowym o 180 m kwadr. powierzchni, z pomieszczeniami klubowymi, kinem 70 mm etc., etc. Powstała przy tym koncepcja połączenia działalności obecnego PDK i ZDK — w nowym obiekcie, koncepcja popierana przez rady narodowe i kombinat azotowy. Obecna placówka Zakładów pomieści młodzieżowy dom kultury, a stary PDK przejmą stowarzyszenia twórcze i ktoś jeszcze. W planowanym młodzieżowym domu kultury przewiduje się stałe dni występów Teatru im. Osterwy, operetki lubelskiej i Filharmonii im. Wieniawskiego.

Inwestycja „Dom Chemika” została wstrzymana w momencie poważnego zaawansowania prac budowlanych w roku 1970 — zgodnie z decyzją Rady Ministrów o przerwaniu wszelkich inwestycji kulturalnych, znajdujących się na określonym etapie realizacji. Koszt zabezpieczenia już wzniesionych obiektów oblicza się na milion złotych.

— A więc będzie miejsce do prowadzenia szerokiej działalności kulturalnej. Czy będą w nim ludzie?

— Oczywiście. Pracownicy „Azotów” lubią np. teatr, rocznie 4—5 tysięcy osób wyjeżdża do teatrów Warszawy, Lublina, nawet Łodzi i Krakowa; Rada Zakładowa pokrywa transport. Koncerty Filharmonii Lubelskiej również cieszyły się zainteresowaniem, lecz musieliśmy je przerwać z braku odpowiedniej sali; jak długo można koncertować w stołówce — wyjaśnia dyrektor Towalski.

Właściwie to Zakłady Azotowe posiadają własny teatr zawodowy, o którym głośno było w kraju, a ostatnio coraz głośniej w samych Puławach, aczkolwiek na jego spektakle przychodzi, bywa tak, pięć — sześć osób, choć prymitywna salka w piwnicy ZDK może pomieścić 70 widzów. Teatr powstał za czasów dyrektora M. Kolodzieja, jego członkami — aktorami, reżyserami, scenografami, rozlepiaczami afiszów, sprzętaczami, służbą techniczną — są cztery młode osoby: trzy po warszawskiej PWST, jedna od Grotowskiego; ostatnio do zespołu dołączyło dwóch młodych, którym się nie powiodło przy egzaminach do szkoły teatralnej i zostali poleceni zakładowej scenie przez wybitnego aktora „Misterium Buffo”, „Niedźwiędź” Czechowa, „Świeczka” Fredry, „Noc tysięczna druga” Norwida — oto dotychczasowe premiery teatru, bliskiego poetyce Grotowskiego. Zakłady Azotowe nie chcą takiego teatru, ktoś powiedział, że dopłaci półtora miliona, aby mieć inną scenę: normalną, dla ludzi, bez wygłupów, udziwnień, wrzasku, eksperymentów, z humorem, z chęcią obsłużeniwa akademii i zespołów amatorskich, dającą pokrzepienie. Oto opinie i konkretne zarzuty pod adresem naiwnej młodzieży, którą się zresztą posadza o coś przeciwnego:

Rada Zakładowa: „Plenum (RZ) zdecydowanie sprzeciwiło się traktowaniu przez instruktora k.o. — na takich etatach zatrudnieni są aktorzy — pracy przy eksperymentach scenicznych za wyjątkiem ich obowiązujących — winni oni czynnie uczestniczyć w organizowaniu imprez artystycznych, przygotowywaniu występów oraz sami brać w nich udział. Plenum uznało za wysoce obraźliwe dla amatorskiego ruchu artystycznego traktowanie takiej jak wymieniona działalność za działalność o niskiej randze artystycznej. Jednocześnie Plenum RZ uznało, iż niespełnienie tych warunków winno być uważane przez kierownictwo ZA „Puławy” za niewywiązywanie się z

podstawowych obowiązków pracowniczych i jako takie potraktowane”.

Przedstawiciele załogi i dyrekcji kombinatu:

— To ludzie nienormalni. Na akademii ku czci rewolucji chcieli zdżudo wprowadzić.

— Lekceważą wszystkich, poszczególnych ludzi i organizacje społeczne, inżynierów nazywają pigmejami.

— Nie potrafili dogadać się na miejscu, ślą skargi do województwa, do Komitetu Centralnego, CRZZ, do ministerstw.

— To nie jest teatr dla środowiska Puław, gdzie w sumie może sto osób interesuje się teatrem, nawet tradycyjnym.

W odpowiedzi aktorzy mówią:

— Chaiturzyć nie będziemy, przyjechalibyśmy tu robić teatr, lecz nie stworzono nam odpowiednich warunków lokalowych i etatowych. Początkowo braliśmy udział w „części artystycznej” akademii, lecz powiedziano, że nie mamy o tym pojęcia. Jeśli nie zmienić klimat wokół naszej działalności i nie poprawić się warunki techniczno-materiałowe, w których pracujemy, wyjedziemy stąd, choć bardzo chcielibyśmy pozostać... Niedawno zostaliśmy zaproszeni na festiwal teatrów awangardowych do Nancy, kostiumy szyjemy sami, jak amerykański „Bread and Puppet”...

W opinii dr. Stefana Buksińskiego, znanego humanisty i działacza Towarzystwa Przyjaciół Puław, teatr powinien bez wątpienia pozostać w mieście: bo jest kontrolerem, a więc wprowadza istotny moment do pejzażu kulturalnego; aktorzy powiększają załogę środowiska humanistycznego; młodzież licealna już dorasta do formuły artystycznej, zaproponowanej przez zespół.

Mgr Aleksy Bornus, socjolog zatrudniony w puławskiej placówce PAN i przewodniczący TPP, ma zbliżone zdanie, a dalsze losy teatru wiąże ze znalezieniem grupy społecznej popierającej zespół Małgorzaty Dziewulskiej.

Zdecydowanych przyjaciół posiada też teatr w Powiatowym Domu Kultury. Zakłady Azotowe kontra stare Puławy — dawny podział ujawnia się dziś pod bardziej subtelną postacią różnic w oczekiwaniach i potrzebach kulturalnych? Chyba nie: dziś społeczeństwo Puław dzieli się na pragmatyków, zajętych umacnianiem swego indywidualnego bytu i myślących w kategoriach matematycznie sprawdzalnych, i na szczupłe środowisko humanistów, dumających nad człowieczą kondycją obywatela miasta w dynamicznym rozwoju demograficzno-ekonomicznym, który może zatracić rozeznanie w tym, co jest najgłębszym sensem ludzkiej egzystencji. Występuje to środowisko z hasłem społecznej integracji, pragnie związać azotowych przemysłowców, oderwanych od życia społeczno-kulturalnego pracowników instytucji naukowych i inne warstwy społeczne i zawodowe w je-

den organizm zdolny do wytwarzania humanistycznych wartości, propagowania takich wzorców, organizm reprezentujący zarazem opinię publiczną o poważnej sile. To środowisko skupia się — bardzo powoli, za powoli — wokół Towarzystwa Przyjaciół Puław, co nie znaczy, że utożsamia się z jego składem osobowym, w większości biernym. Faktycznie w Puławach działają jednostki, rozlane w różnych instytucjach i zakładach pracy, które bez szerszego poparcia administracyjnego, bez poparcia dla ich nowoczesnych często inicjatyw i propozycji, niewiele zrobią. Ale to poparcie nie jest tylko kwestią dobrej woli, lecz w największym bodaj stopniu zależy od stanu świadomości społecznej, od tego, jakie cele wyznacza sobie ta świadomość, jakie wartości preferuje. To zaś ostatecznie zależy od mechanizmu historii, który nie zawsze porusza się zgodnie z marzeniami utopistów o wyspach szczęśliwych. Jest taka zabawa, podczas której dwie drużyny przeciągają linę. W dzisiejszych Puławach zabawa ta stała się zajęciem codziennym, tyle że prowadzonym na serio, nie bez ofiar.

Ireneusz J. Kamiński

P.S. 19 stycznia odbyła się w Puławach narada, w której wzięli udział: przewodniczący PMRN — Antoni Jędrzejczyk; dyrektor naczelny ZA — Stefan Jucha; dyrektor IUNG — Stanisław Nawrocki; kierownik Wydziału BUA PPRN — Tadeusz Szczygiel; kierownik Wydziału Kultury PPRN — Waldemar Bednarski; zas. insp. szkolnego — Bolesław Grzebalski. Na wniosek W. Bednarskiego teatr Zakładów Azotowych przeniesiony będzie do obecnej siedziby kina „Nysa” po remoncie obiektu. „Azoty” zabezpieczą pobory dla aktorów przez najbliższe dwa lata. Nadzór merytoryczny nad teatrem przejmie rektorat PWST w Warszawie, a finansowanie — Wydział Kultury PWRN przez Wydział Kultury PPRN w Puławach, któremu też zespół będzie podlegał.

IJK

P.S. PS. 25 stycznia w sali konferencyjnej Prezydium MRN w Puławach odbyło się spotkanie przedstawicieli środowiska kulturalnego miasta z redaktorami prasy lubelskiej, zorganizowane przez Towarzystwo Przyjaciół Puław i PDK. Gospodarze przedstawili szereg problemów społeczno-kulturalnych, domagających się rozwiązania w trybie pilnym. Zaproszone władze nie pojawiły się na spotkaniu — pod żadną postacią, co ideę puławskiej integracji zdaje się przenosić w rejony legendy.

IJK

Bez komentarza

„BARWY” są miesięcznikiem społeczno-kulturalnym Ziemi Mazowieckiej. Ukazują się raz w miesiącu w formie, mniej więcej, „Kamenu”. Wychodzą piąty rok.

W drugim tegorocznym numerze tego pisma ukazał się artykuł Jerzego Grzymkowskiego pt. „Aby atramentem nie chlapać po próżnicy”. Przytaczamy charakterystyczny fragment:

Przeglądając dawne numery „Barwy” człowiek mimo woli zadumać się musi nad poważną ilością wychłapanego po próżnicy atramentu. Iż bowiem artykułów poświęconych sprawom niejednokrotnie pierwszorzędnej wagi pozostało bez najbliższego echa.

Nie wymagamy, aby pismo nasze było czytane przez każdego mieszkańca województwa, chociaż jest to naszym pragnieniem. Mamy jednak prawo wymagać, by „Barwy” czytane były przez ludzi, którzy za sprawy naszego województwa są odpowiedzialni. Mamy prawo wymagać, by pismo regionalne czytali pracownicy administracji i działacze partyjni.

Nie sposób przyjąć do wiadomości tłumaczeń, że brak czasu, natwał zajęć...

Czytanie prasy, a zwłaszcza prasy regionalnej, jest takim samym obowiązkiem działacza partyjnego czy administracyjnego, jak czytanie ustaw, okólników, zaleceń i instrukcji. W poprzednim numerze stwierdziłem na podstawie konkursu czytelniczego, że z czytelnictwem prasy w naszym województwie nie jest najlepiej. Cóż jednak mamy wymagać od ucznia szkoły średniej, jeśli zdarza się, że pracownik Rady Narodowej na oświadczenie dziennikarza, że reprezentuje „Barwy” robi zdziwioną minę, pytając, co to za pismo!

„Kamena” ukazuje się co dwa tygodnie. Nakład pisma przekroczył 10 tysięcy egzemplarzy, nie uważamy jednak, aby było to szczytem czytelnictwa „Kamenu”. Nie staramy się robić sztucznej prenumeraty, nie wiemy, czy mamy prawo — tak jak „Barwy” — wymagać, by pismo regionalne czytali pracownicy administracji i działacze partyjni. Nie mniej uważaliśmy za stosowne zażytkować „Barwy”. Co bystrzejsi czytelnicy sami dopiszą komentarz.

(j)

BADANIA psychologów wykazały, że z 10 punktów działających na świadomość i podświadomość ludzką, 8 przypada na wizję, a tylko 2 na fonię. Wystarczy zresztą, abyśmy popytali znajomych. „Jestem wrokołosem” — odpowie większość. Telewizja staje się głównym pochłaniaczem naszego wolnego czasu. Radio ma nad nią tę przewagę (pomijając, oczywiście, różnice poziomów, w różnych krajach na ogół korzystne dla radia), że wystrzasy pokreślił galką aparatu i można słuchać bardzo wielu stacji z różnych krańców świata, podczas gdy w telewizji możliwości te są ograniczone. Nawet w wielkich metropoliach najbardziej rozwiniętych państw świata odbiorcy mają do wyboru nie więcej niż 10-15 programów. Pod tym względem możliwości radia są bezkonkurencyjne.

Sytuacja zmienia się jednak w szybkim tempie. Według przewidywań specjalistów około roku 1985 będziemy mogli swobodnie odbierać kilkadziesiąt, a być może kilkaset programów kolorowych. Uzyska się to dzięki wykorzystaniu sztucznych satelitów. Dzięki nim oglądaliśmy już na bieżąco transmisje z Księżycą, sprawozdania sportowe z olimpiady, czy najważniejsze wydarzenia polityczne odbywające się na drugiej półkuli.

W roku 1964 czternaście państw zachodnich utworzyło organizację komercyjną o nazwie „Intelsat”, mającą za zadanie rozwijanie łączności satelitarnej. W roku 1971 do „Intelsatu” należało już 78 państw. Posiada ona 3 satelity na wysokości 36 tys. km., oddalonych od siebie o około 120° (z odchyleniem ±25°). Odbierają one program nadawany z ziemi, wzmacniają go i nadają na ziemi, na obszar o paśmie od 70° szerokości północnej do 70° szer. południowej, gdzie odbierany jest przez specjalne urządzenia, a następnie transmitowany przez konwencjonalną sieć telewizyjną. Oprócz przekazywania programów telewizji kolorowej „Intelsat” służy telefonii, telegrafii, symulografii (przekazywanie zdjęć na odległość), radiu oraz przekazywaniu danych dla komputerów. W chwili obecnej działa trzecia już generacja satelitów „Intelsatu”, są one bowiem wymieniane w miarę upływu czasu i postępu technicznego. Można nią przekazywać 12 programów telewizji kolorowej lub 0,5 tysiąca rozmów (1 program — około 760 równoczesnych rozmów), bądź część telewizyjną, a część innych gałęzi telekomunikacji (przy czym wykorzystuje się tylko ok. 3 tys. kanałów telefonicznych, reszta zaś służy jako niezbędna rezerwa dla różnych celów).

Satelity te i rakiety kosztowały organizację 73 mln dolarów. Prócz

tego każdy z członków wydał około 6-7 mln dolarów na stacje nadawcze i odbiorcze (kraje Trzeciego Świata, z uwagi na tanią siłę roboczą — mniej). Rozwój techniki obniża koszty. System „Intelsat 4”, cztery razy pojemniejszy od swego poprzednika będzie kosztował (rakiety i satelity) już tylko 29 milionów dolarów.

Im państwo ma większe terytorium, tym bardziej opłacalne dlań staje się wykorzystywanie satelitów do przekazu telewizji i innych form telekomunikacji. Dla krajów wielkich a biednych jest to wyjątkowa szansa. Indie na przykład zamierzają za pomocą telewizji upowszechnić szkolnictwo podstawowe i częściowo średnie, podlegające jego poziom w krótkim czasie do przełomnych standardów światowych, a także upowszechnić oświatę dla dorosłych (ogólną, rolniczo-hodowlaną, sanitarną itd). Będzie to kosztowało około 2 mld rupii (7,8 rupii = 1 dolar USA). Już w roku 1979 w każdej wsi znajdzie się przynajmniej jeden odbiornik telewizji kolorowej, podczas gdy konwencjonalne metody pokrycia kraju siecią tv kosztowałyby znacznie więcej i udało by się je zrealizować ostatecznie dopiero w roku 1995.

Upowszechnienie szkolnictwa na odpowiednio wysokim poziomie bez pomocy telewizji nie byłoby w tym czasie w ogóle możliwe z uwagi na brak kadr nauczycielskich. Polska, podobnie jak i inne kraje socjalistyczne, prowadziła rozmowy na temat przystąpienia do „Intelsatu”. Okazało się jednak, że organizacja ta, mimo komercyjnego charakteru (wynajmowanie kanałów wszystkim zainteresowanym), zamierzała zastosować ograniczenia wobec niektórych państw socjalistycznych (jak np. NRD czy Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej). Wobec tego w listopadzie 1971 roku 8 państw socjalistycznych utworzyło nową organizację łączności satelitarnej pod nazwą „Intersputnik”. Opiera się ona na doświadczeniach radzieckiego systemu wewnętrznego „Mołnia” i całej wiedzy satelitarnej uczonych radzieckich oraz radzieckim sprzęcie, zamierza też wykorzystywać dostępne osiągnięcia USA i innych państw. „Intersputnik” jest otwarty na równych prawach dla

wszystkich zainteresowanych państw.

„Intersputnik” nie dotrze tak daleko na południe jak „Intelsat”, ale za to obejmie dalsze obszary na północy. Z uwagi na to przystąpiła doń Finlandia, a zainteresowanie wykazują Norwegia, Szwecja i Kanada, należące już do „Intelsatu”. Z kolei niektórzy członkowie „Intersputnika” nadal rozważają możliwości przystąpienia do „Intelsatu”. Można zresztą mieć nadzieję, że w przyszłości, w miarę dalszego poprawy sytuacji międzynarodowej, obie organizacje jeśli nie połączą się, to przynajmniej będą utrzymywać stałą, ścisłą współpracę.

Czy państwu średniej wielkości, takiemu jak Polska, posiadającemu już rozbudowaną nazemną sieć przekaźników telewizji, opłaca się

noczenie w tym czasie jeden system satelitalny będzie mógł prawdopodobnie przekazywać 220 programów tv kolorowej, lub 50 tys. rozmów telefonicznych, telewizja nie będzie miała granic, tak jak dziś nie ma ich radio. W stadium badań teoretycznych jest też satelita o możliwości przekazu 12 tys. (tak, tak!) słownie: dwadzieścia tysięcy) programów tv.

Zdaniem fachowców w roku 1985 około 75 procent światowych agencji prasowych przekazywać będzie i odbierać swe informacje za pośrednictwem satelitów. Nie można wyliczyć z tego agencji polskich. W naszej międzynarodowej łączności telefonicznej czy telegraficznej nie możemy opierać się na tradycyjnych kablach. I nie się tu nie poradzi na fakt, że pociągnie to na

Romuald Wiśniewski

Czas kosmowizji

uczestnictwa w tym rodzaju przedsięwzięciach?

Gdyby chodziło tylko o przekazywanie programu telewizyjnego dla kraju, rzecz całą można by podawać w wątpliwość — choć i tak mało kto byłby przekonany, że przez oszczędność powinniśmy stanąć w miejscu, gdy świat cały idzie naprzód. Doświadczenie wyniesione z rozwoju techniki dowodzi, iż kosztowne nowości po jakimś czasie stają się tańsze od form starych. Poza tym nie możemy się skazywać na zaściankowość, izolację od ludzkości. Na świecie mieszka około 12 milionów ludzi pochodzenia polskiego, spragnionych kontaktów z ziemią przodków. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć do nich w należyтым wymiarze ani z prasą, ani z książką, ani z filmem; ale będzie to możliwe za pośrednictwem telewizji. Przekazemy im wiedzę o Polsce, pomożemy choćby w nauce języka. Nie możemy też być tylko odbiorcami cudzych audycji, nie nadając swoich dla innych narodów.

Przewiduje się, iż w roku 1985 światowa łączność satelitalna osiągnie nowe stadium. Programy telewizyjne z ziemi nadawane będą za pomocą laserów do satelitów, te zaś, wyposażone we własne minielektroniki jądrowe, wzmacnią impulsy otrzymane z ziemi tak, iż przesłane ponownie na ziemię będą mogły być odbierane na zwykłych odbiornikach tv kolorowej, zaopatrzonych w specjalne przystawki. A że jed-

zobą dalsze koszty w postaci dostawienia aparatury do poziomu światowego (nasze urządzenia odbierają i nadają 1200-2400 znaków na minutę, gdy w produkujących krajach — 6 tys./min.).

Nie wszystkie przewidywania co do skutków technicznych rozwoju łączności satelitarnej muszą się sprawdzić. Być może niektórych zamierzeń nie uda się w planowanym czasie zrealizować, zapewne inne spełnione zostaną przed terminem i zapewne uczeni obdarują nas niejednym, nieprzewidywanym dziś, a cennym wynalazkiem. Jedno jest pewne: jeśli na świecie będzie panował pokój, sprawy techniczne, organizacyjne i finansowe łączności satelitarnej zostaną pomyślnie rozwiązane.

Wylania się jednak wiele zagadnień natury społeczno-politycznej, związanych z nadawaniem programów telewizyjnych. To, co jest dobre dla jednych, nie zawsze będzie dobre dla innych. I choć te sprawy występowały już w pewnym zakresie w radiofonii, a także tam, gdzie programy tv z jednego kraju obejmowały częścią drugiego — w telewizji satelitarnej mogą wystąpić z całą ostrością. Mogą dać o sobie znać różnice światopoglądowe, polityczne, obyczajowe itd. Program oświatowo-rolniczy, pokazujący jak w jednym kraju hoduje się bydło na rzeź, może wywołać wzbурzenie w innym, w którym krowa jest uznawana za zwierzę

Krótsza droga do mieszkania

Dokończenie ze str. 1

21342 mieszkania. Przede wszystkim dzięki wciąż zwiększającym się przydziałom materiałów budowlanych i — mimo lokalnych przecięć — różnym ułatwieniom, gospodarka nieuspoleconiona oddawała systematycznie około 80 procent tych ilości. W sumie w ciągu dziesięciu lat województwo nasze wzrosło o 81 606 nowych mieszkań, w znacznej większości zaopatrzone w wszystkie urządzenia techniczne. W całym okresie powojennym sam Lublin otrzymał prawie 100 tysięcy izb mieszkalnych, dzięki czemu ponad połowa jego mieszkańców ma już problem mieszkaniowy rozwiązany.

Nie zmienia to jednak faktu, że mimo to nie nadążaliśmy z zaspokajaniem bieżących potrzeb, a tu zbliżał się wyjątkowo demograficzny, zaś wśród przedwojennych mieszkańców coraz większa ilość nadawała się już tylko na rozbiórkę. W dodatku w polityce przydziałów stosowaliśmy dwie zupełnie inne miary: w budownictwie rad narodowych preferowano ludzi mieszkających w najgorszych warunkach, w spółdzielczości mieszkaniowej tych, którzy mieli pieniądze i refleks, aby odpowiednio szybko zapisać się na kandydata lub członka, a których aktualna sytuacja mieszkaniowa nie zawsze była zła. I w rezultacie mimo wielokrotnych rejestracji oraz różnych obietnic nie potrafiliśmy wyprowadzić ludzi z piwnic, strychów czy baraków. Przeciętny wskaźnik zagęszczenia na izbę systematycznie spadał, ale rozpiętość między bieżącym a przyszłym rokiem. I tu właśnie leży źródło zmian w zasadach przydziału mieszkań spółdzielczych. Dla stosunkowo nie-

licznych są to rzeczywiście zasady kontrowersyjne, dla olbrzymiej większości słuszne — indywidualnie i społecznie.

Ale wracajmy na lubelskie podwórko. Pod koniec roku ubiegłego KW PZPR podjął uchwałę, przyjętą następnie przez Prezydium WRN jako kierunek działania, że w bieżącej pięcioletce mamy wybudować ze środków uposzczonych 32 tysiące mieszkań. Co więcej — owe 32 tysiące mają być planem minimum. A tymczasem, jak było wyżej, oficjalny plan przewiduje „tylko” 27 800 mieszkań. Prawda, że o 5 tysięcy więcej niż w poprzedniej pięcioletce, co oznacza wzrost o 22 procent — ale przecież o 4200 mieszkań mniej, niż sami to sobie narzekaliśmy. Więc jak to jest?

Jest tak, że potrzeby to jedno, a możliwości — drugie. Tak było zawsze, ale tym razem sytuacja wyjściowa jest inna. Po raz pierwszy od wielu lat plan w roku 1971 został nie tylko wykonany, ale i przekroczony. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat kilka przedsiębiorstw budowlanych ma większe moce produkcyjne niż są potrzebne do wykonania ich planów. Po raz pierwszy od wielu lat w rezerwie budownictwa nie obowiązują granice przekraczania planów, określona poprzednio najwyższe 102 procentami. Zniesiono sztywne limity funduszu plac — zrobisz więcej, możesz wydać odpowiednio więcej. Tak więc zarządzeniami centralnymi stworzono szanse znacznego przekroczenia planu, co dotychczas było niemożliwe.

Teraz więc rzecz polega na tym, abyśmy te szanse wykorzystali w możliwie największym procencie. Jakże są perspektywy?

Spółdzielczość mieszkaniowa, główny potentat, powiada, że już w tym roku da około 400 mieszkań ponad plan. Więcej — ma zapewnione tereny i dokumentację na to, aby w samym tylko Lublinie do końca pięcioletki przekazać około 1500 mieszkań ponad plan — a od przygotowania terenów i wyposażenia

ich w podstawowe uzbrojenie przez rady narodowe zależy, aby odpowiednie nadwyżki powstawały w miastach powiatowych i innych. Potrzebny jest więc nie tylko administracyjny, ale przede wszystkim społeczny nacisk na rady, by ten swój obowiązek możliwie najszybciej wykonały. Może nie wszystkie, bo mimo poważnego zwiększenia środków na gospodarkę komunalną też są ograniczone, ale tu znów władza wojewódzka musi zdecydować o hierarchii terenowych potrzeb. Jednak musi to zrobić szybko, aby nie zaprzepścić szans.

Mamy nowy wojewódzki zestaw dokumentacji technicznej, oceniany wysoko nie tylko przez lokalnych fachowców. Zniknęły ciemne kuchnie, powierzchnia mieszkań sięga górno-normatywu, a w przypadku M-3 nawet go nieco przekracza. Funkcjonalność jest znacznie lepsza, zarzucono używanie różnych materiałów zastępczych, które w praktyce nie zdały egzaminu.

Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego powiada: jeżeli w pełni wykorzystacie przyznane już środki, damy więcej. Wojewódzka Rada Narodowa z rezerwą budżetowej przeznaczyła dodatkowo na mieszkania 110 milionów złotych, co należy odczytać jako 740 dodatkowych mieszkań, budowę 120 rozpoczyna się już w roku bieżącym. Istnieje plan nadbudowy wielu domów, co ma być wykonane przy okazji ich kapitalnych remontów — liczy się tu na co najmniej 200 mieszkań.

Duże możliwości daje budownictwo systemem gospodarczym przez zakłady pracy, wyłączone z wszelkiego limitowania. Wszystko zależy tu od inicjatywy zarówno kierownictw tych zakładów jak i samych załóg. Jak dotychczas, niestety, nie dzieje się tu prawie nic, bo sprawa jest omawiana tylko w FSC i WSK. A w dodatku trudno zgodzić się z koncepcją MRN w Lublinie, aby budowane w ten sposób osiedle domków jednorodzinnych dla pracowników FSC zlokalizować dostojnie na drugim końcu miasta w rejonie Węglinia — Ślawinka. Gdyby ta koncepcja została zrealizowana, pracownicy naszej największej fabryki musieliby do czasu przejścia na emeryturę dwa razy dziennie przejeżdżać przez całe miasto, jakieś 6 km w jedną stronę. Nonsens — życiowy i ekonomiczny. A niezależnie od tego nie-

pełni sytuacja, dlatego ta forma budownictwa wywołala dotychczas tak małe zainteresowanie zakładów pracy. Właśnie przeczytałem w stołecznej prasie, że w Białymostku w gospodarstwie systemem produkcyjnym dla pracowników blocki ścienne po 2 zł sztuka, podczas gdy cena rynkowa wynosi 8 zł. Czy w Lublinie, Chełmie, Puławach lub Kraśniku nie można naśladować śląskiego przykładu?

Można — trzeba tylko rzeczywiście chcieć. Tymczasem w naszym województwie budownictwo jednorodzinne od lat nie może przełamać bariery obojętności, aby nie powiedzieć — stwarzanych sztucznie trudności. W spółdzielczości zresztą budowy domków jednorodzinnych niemal wyginęły śmiertelnie naturalną. Przed kilku laty ówczesny dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Dyrekcji Inwestycji Miejskich złożył w Prezydium WRN projekt powołania przedsiębiorstwa, które zajęłoby się budową takich domków. Nawet nie doczekał się odpowiedzi. Potem były opracowywane plany takiego budownictwa dla Izbiły i jeszcze jednej miejscowości — znów skończyło się na planach.

I do dzisiaj nikt się tym nie zajmuje. Dopiero w ostatnich tygodniach Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych w Lublinie zabrało się do rzeczy, wysunęło propozycje, opracowuje dokumentację, ale nikt jeszcze nie powiedział oficjalnie „tak”. Nie posiadamy żadnej dokumentacji na typowy domek mieszkalny, którego cena mieściłaby się w granicach 150-200 tysięcy zł. A jeżeli chcemy budować domki po 300 tys. zł i więcej, to powstaje pytanie, kto je będzie mógł sobie postawić i czy jest rzeczą słuszną, aby tej właśnie grupie ludzi udzielać państwowych kredytów, przydzielając materiały, przynajmniej różne ulgi? Co kilka dni z jakiegoś województwa przychodzi wiadomości, że opracowano tam dokumentację, lub nawet rozpoczęto budowę tanich domków mieszkalnych. Podobnej dokumentacji u nas nie ma, nikt nawet nie zabrał się do tego, aby na własne oczy zobaczyć, jak owe doniesienia prasowe wyglądają w rzeczywistości. Wydziały Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej oraz Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium WRN nie popisały się tu operatywnością, zresztą inne jednostki administracji także nie. A czas płynie nieubłaganie.

Jednym ze źródeł uzyskania dodatkowej liczby mieszkań jest akcja patronacka ZMS, która wystartowała dzięki szczególnie życzliwej pomocy Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Mieszkaniowego. Ale cztery czy pięć umów na całe województwo to stanowczo za mało. Trzeba tu mieć pretensje i do budowlanych i do ZMS. Za miesiąc będzie już wiosna i nie powinno być tak, aby zamiast przystępować do roboty, trzeba było jeszcze pertraktować. Zresztą powiedzmy sobie szczerze, że w już zawartych umowach jest dużo luk, niedopowiedzeń, które mogą wpłynąć hamująco na realizację. Nikt tu np. nie powiedział, że jeżeli przedsiębiorstwa mają wykonać owe budynki patronackie w stanie surowym, to będzie to już stanowczo 60 procent wartości każdego z nich. Młodzież tylko w części będzie mogła uczestniczyć w robotach wykończeniowych, a do instalacji co i wycieba będzie angażować fachowców. Czy pozostała część robót wystarczy na pokrycie wkładów? Czy te brigady młodzieżowe nie będą musiały pracować na dwóch budynkach, aby w jednym otrzymać mieszkanie? Trzeba to dokładnie wylizywać i młodym powiedzieć wyraźnie, jak to będzie wyglądało.

Największą jednak trudnością będzie zdobyć odpowiednią ilość materiałów budowlanych. W skali państwowej przyznano na ten cel pokasne środki, nie tylko zlikwidowano eksport cementu, ale nawet rozpoczęto jego import. W województwie też mamy lepsze perspektywy. W Długim Kącie ruszyła niedawno druga fabryka elementów budowlanych, w tymże Długim Kącie i w Lubartowie produkcja trwa już przez pełne trzy zmiany. Ruszyła też wreszcie wytwórnia gazobetonów w Puławach, w połowie roku Belżec da pierwsze partie cegły silikatowej, w ceglarniach przemysłu terenowego uruchamia się trzy zmiany wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. Złagodzona polityka finansowa wobec chłopskich zespołów wypału cegły już przynosi pozytywne wyniki. Czy dzięki tym i innym poczynaniom zlikwidujemy wreszcie deficyt materiałów ściennych, od lat gniebiący nasze województwo? Jest to możliwe w ciągu 2-3 lat. Ale to nie rozwiąże sprawy. Wiele materiałów budowlanych, całą armaturę instalacyjną będziemy musieli nadal sprowadzać z innych województw, w których budownictwo mieszkaniowe także będzie się rozwijać. Jeżeli nie chcemy poprzestać tylko na przydziałach — a to automatycznie musiałoby zahamować nasze zamłary — musimy doprowadzić do tego, iż tym innym województwom będziemy mogli dawać to, co u siebie wyprodukujemy w nadmiarze. A bogate u nas zasoby glin i odpowiednich piasków taką perspektywę

święta. Są państwa, w których zakazana jest reklama alkoholu, czy papierosów (nawet w Europie), a są takie, które z eksportu alkoholu czy tytoniu czerpią poważne zyski. Czy państwo X, nie zezwala- jące na taką reklamę swoim pro- ducetom lub handlowcom, ma prawo zwrócić się do państwa Y, by zaniechały owej reklamy, gdyż programy z nią docierają do całego obszaru X? Inaczej wygląda rzecz, jeśli każda radiofonia i tele- wizja działa sobie, a inaczej, gdy w ramach jednej organizacji użyt- kują wspólną aparaturę. Mogą zająć wypadki, iż jakieś państwo urna obcy program tv za ingeren- cję w swoje wewnętrzne sprawy. To, co w jednym kraju jest obel- gą, w innym może być komple- mentem i odwrotnie. Problemów jest wiele, od poważnych, mogą- cych wprowadzić stan napięcia i za- drażeń międzynarodowych, do mniejszych, ale też istotnych, jak choćby ochrona praw autorskich twórców programów tv. Niektóre ubogie kraje Trzeciego Świata oba- wiają się, że pokazywanie w do- stępnym dla ich obywateli obcych programach (a tv upowszechni się tam zapewne wcześniej niż inne dobra, nawet niezbędne) dostanie- go życia mieszkańców krajów naj- bogatszych, może doprowadzić do poważnych fermentów wewnętrz- nych. Krajom małym, których nie będzie stać na szeroka rozbudowa własnego programu, grozi, iż miesz- kańcy ich, oglądając cudze progra- my, przejmować będą obce wzorce kulturowe i obyczajowe, zatracają- jąc własne.

Spraw trudnych wyłoni się za- pewne wiele. Ale nie sposób nie o- czekiwając bez podniecenia chwili, gdy kręcąc gałką odbiornika, be- dzimy mogli na ekran w naszym mieszkaniu przywoływać obrazy z całego świata. Zresztą to, co jest problemem niełatwym, jednocześnie może być szansą: np. prezenta- cję światu swej kultury, tradycji, osiągnięć przez kraje małe, czy mało znane, nawet jeśli by było stać na wynajęcie tylko jed- nego kanału na kilka godzin w ty- godniu. Inna rzecz, że zmusi to te- lewizję poszczególnych państw do przemodelowania programów. Wątpliwe czy „Hamlet”, nawet naj- lepiej wystawiony przez polski teatr, byłby takim świadectwem odrębności i żywotności naszej kul- tury, jak sztuka autora mniejszego formatu, lecz Polaka. „Hamleta” bowiem telewizyjnie na świecie szukać będą przede wszystkim w programach angielskich.

W takiej konkurencji wszystkie redakcje telewizyjne zmuszone zo- staną do znacznie większej troski o poziom i atrakcyjność swych pro- gramów, oraz dokładność i szyb- kość informacji. Tak by telewizji z licznych możliwości wybierał także

w należytym wymiarze odbiór stacji rodzinnych. I oczywiście za- pełnieniu przemodelowaniu, przy- stosowaniu się do tej sytuacji, uleg- ną niewątpliwie pisma codzienne i czasopisma periodyczne.

Problemy środków masowego przekazu i informacji w epoce łączności satelitarnej, którymi do niedawna interesowało się w Pol- sce kilka osób, na zasadzie pry- watnego hobby, są dziś badane ca- łościowo, w sposób usystematyzo- wany, naukowy, 15 listopada 1971 roku przy Instytucie Dziennikar- skim Uniwersytetu Warszawskiego powstał Zespół Naukowo-Bada- wczy, którego celem jest określenie naszych potrzeb, możliwości i za- dań w tym względzie, zarówno na bliższe jak i dalsze lata. Zespołem kieruje 42-letni dr Tadeusz Koźluk, historyk i prawnik, który był przez kilka lat delegatem Polski do Ko- mitetu Kosmicznego i Komitetu Morskiego ONZ, a potem eksper- tem delegacji polskiej w UNESCO, studiował też te problemy na uni- wersytetach amerykańskich. Współ- pracują z nim doc. dr Daniel Bem — specjalista od telekomunikacji satelitarnej (Politechnika Wrocław- ska), dr Stanisław Ryska — dy- rektor Instytutu Elektroniki Radio- wej Politechniki Warszawskiej, dr Janusz Bazewicz — kierownik za- kładu informacji na Politechnice Wrocławskiej, dr inż. Andrzej Jan- nicki — elektronik, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Matema- tycznego, prof. dr Zygmunt Zimny — psycholog z Uniwersytetu Ślą- skiego i inni naukowcy. Przy zespo- le istnieje też 44-osobowa grupa doktorantów, głównie absolwentów humanistyki i nauk społecznych. Organizowane są kilkudniowe kon- ferencje naukowe, będące jedno- cześnie seminariami doktoranckimi. W roli współorganizatorów wystę- pują różne organizacje i instytucje, jak Zarząd Główny RSW „Prasa”, Polskie Radio i Telewizja, Ośrodek Dziennikarstwa SDP. Uczestniczy- lem w trzech konferencjach i wia- domości z nich wyniesione, w skrócie i pewnym koniecznym uproszczeniu, przekazuję czytelnik- om.

Polska jako kraj średniej wiel- kości nie jest w stanie ani samo- dzielnie organizować sobie systemu łączności satelitarnej, ani też chyba przodować w rozwiązaniach teoretycznych. Dobrze jednak, że nie zaniedbujemy tego tematu, że jeśli nawet przyjdzie nam wystę- pować raczej w roli penenta, be- dzimy potentem świadomym tego, co się w tej materii dzieje i tego, czego my chcemy i co możemy. I jeśli nawet entuzjasti sprawy prze- ceniałają niekiedy znaczenie tego za- gadnienia i jego wszechstronny wpływ na losy ludzkości, nie ulega wątpliwości, że czas kosmowizji nadejdzie niebawem.

stwarzają, nie mówiąc już o du- żych możliwościach dalszego roz- woju przemysłu cementowego za- równo w Chelmie jak i np. w Za- kliczynie.

Przed dwoma laty przegapiliśmy szansę zdobycia dla naszego woje- wództwa fabryki domów i do koń- ca bieżącej pięcioletki musimy opierać się na budownictwie wiel- koblokowym. Jest ono nieco droż- sze i bardziej pracochłonne od wiel- kopłytowego. Te różnice możemy jednak wyrównać rutyną, sprawną organizacją, lepszym zarządzaniem. Bardziej kontrowersyjny wydaje się ograniczenie przez władze cen- tralne budownictwa wysokościowe- go. W zasadzie mamy wznosić budynki 5-kondygnacyjne, a tylko 10 procent całości może mieć 11 kondygnacji. Owe wysokie budynki mogą powstawać wszędzie, albo tyl- ko w jednym lub dwóch miejscach. Zależy od nas samych, a raczej od planu architektoniczno-urbanistycz- nego danej dzielnicy. Ograniczenie to ma dwójki uzasadnienie: 1) brak odpowiedniej liczby wiatrów, 2) budynki wysokie są około 20 proc. droższe od tych niższych.

Pierwszy punkt jest zrozumiały, cho- dzi o koszty, koszty dowodzące, że stać nas, w skali krajowej, na wybudowanie drugiej fabryki wiatrów i to w stosunko- wo krótkim czasie. Natomiast wysokość kosztów budowlanych fachowców oży- wione dyskusje, by nie powiedzieć sprzeczny. Twierdzą oni, że wprowadzić tzw. koszty pośrednie są wyższe, choć nie o 20 procent, ale koszty pośrednie przy budownictwie średniej wysokości są stosunkowo większe, bo całą infra- strukturę techniczną trzeba pokryć znacznie większy teren. Dodają także, że przy sporządzaniu kosztów ograni- czone się do resortu budownictwa, gdzie wydatki są rzeczywiście większe, a nie rejestruje się strat innego rodzaju: ubytku ziemi uprawnej, najczęściej już użytkowanej ogrodnictwa, a więc zainwe- stowanej; zmniejszenia się wolej pre- stżeni pomiędzy budynkami, która może przetrwać na zieleni, placu za- baw, boiska; utrzymanie się wciąż zbyt małej powierzchni, przeznaczanej na garaże. Jeden z inwestorów lubel- skich obliczył, że gdyby osiedle Sien- kiewicza na LSM było nabadowane ty- lko budynkami 5-kondygnacyjnymi, to koszt na 1 mieszkańca wyniósłby 61 tys. zł, natomiast przy zabudowie mieszanej, a średniej 7 kondygnacji — 63 tys. zł. Różnica prawie żadna, a tym że w pierwszym przypadku mieszkańiec o- trzymałby 9 m kwadratowych powierzchni mieszkalnej, w drugim zaś 11 m kw- dratowych. I w dodatku przy owych średnio 7 kondygnacjach dąłoby się uzyskać wolny teren o powierzchni 1 ha, a więc uzyskać miejsce na dodatkową zie-

leń, dodatkowe boiska czy dodatkowe garaże.

Sprawa niewątpliwie będzie na- dal dyskutowana i można mieć na- dzieje, że w niezbyt długim czasie ograniczenia wysokościowe będą się kurczyły. Na dziś projektuje się tak- ie wyjście, że przewidziane w pla- nach wysokościowe nie zostaną za- mienione na budynki niskie, lecz po- czekają na czas, gdy będą mogły być realizowane bez przeszkód. Uniknie się w ten sposób monotoni- architektonicznej, chociaż przez pew- ien czas ta architektura będzie „dziurawa”.

Jak widać, spraw do rozwiązania jest dużo, a każda z nich będzie nam stwarzała mniejsze lub większe kłopoty. W każdym razie wydaje się pewne, że program, obejmujący wybudowanie w bieżącej pięciolet- ce nie, jak mówił plan, 27 800 miesz- kań, ale 32 tysiące — jest możliwy do wykonania. A nawet do prze- kroczenia.

Niestety, zaległości są tak duże, że ani w tej ani w przyszłej pięcioletce deficytu mieszkaniowego nie zlik- widujemy. Budownictwa nie moż- na zwiększać dowolnie z dnia na dzień, nawet z roku na rok. To pro- ces długotrwały, w którym — wbrew pozorom — nawet nie pie- niądze i nie maszyny odgrywają zasadniczą rolę. Świadomość po- trzeb odczuwamy wszystkie, ale czy wszyscy mamy konstruktywny pro- gram działania? Taki ogólny pro- gram nakreśliła uchwała VI Zjazdu, sprzecyżując go bardziej przy- dywane na ten właśnie temat ple- num KC. Nasz wojewódzki program został opracowany w uchwale KW PZPR i jest właśnie czas najwyższy, aby go rozdzielić na poszczególne rady narodowe, na zjednoczenia i przedsiębiorstwa, między projektan- tów, inwestorów i wykonawców.

Wszyscy zainteresowani muszą zrozumieć, że obecny program bu- downictwa mieszkaniowego to nie tylko, a nawet nie przede wszyst- kim, takie czy inne liczby i terminy, z którymi można dokonywać róż- nych działań arytmetycznych. Każ- dego wybudowana izba, każde nowe mieszkanie to rozwiązanie jakichś ludzkich problemów, to zadośćuczyn- ienie społecznej potrzebie, to war- tość o charakterze politycznym, to umożliwienie komuś lepszego życia, a przez to bardziej owocnego jego udziału w dalszym rozwoju naszej gospodarki.

Jerzy Dostatni

W 101 rocznicę urodzin Łesi Ukrainki

Jak błogosławięństwo matki...

Roman Łubkiwski



Lesia Ukrainka. Zdjęcie z 1900 r.

Roman Łubkiwski jest poetą ukraińskim, pracuje w redakcji lwowskiego miesięcznika „Zowien” jako zastępca redaktora naczelnego. Urodzony w roku 1941 we wsi Ostrowiec w rejonie Trembowskiem na Ternopolszczyźnie, skończył studia na wydziale filologicznym Uniwersytetu Lwowskiego w roku 1963. Wydał kilka zbiorów poezji, ukazał się też zbiorek jego wierszy w tłumaczeniu na język rosyjski. Na język polski tłumaczyli go K. A. Jaworski i T. Sliwiak. Łubkiwski tłumaczył wiele z poezji polskiej, m. in. Norwida, Staffa, Gałczyńskiego i innych. Niedawno przebywał w Polsce jako gość „Kamień”. Drukujemy jego artykuł o Lesi Ukraince w tłumaczeniu doc. Michała Lesiowa.

TRIUMFALNE choreje hymnu Schillera „Do radości” spowinowacił Beethoven z finałem „Dziesiątej Symfonii”; „Testament” Szewcenki łączący się ściśle z myślą całego narodu wstrząsnął imperium carskim w jego posadach. Nieodwracalne kroki „wiecznego rewolucjonisty” nieustannie rozlegają się po kontynentach. Świat zna setki imion bojowników o wolność i szczęście. Świat zna obrzymów ducha. I wśród tych mężów szlachetnych, rycerzy entolnych i nieustraszonych, widzi świat postać kobiety.

Ukazuje się nam ona nie jak „cień zapomniana”, lecz jak żywy wizerunek ludzki, chociaż postać oraz imię Lesi Ukrainki zostały wywyższone do symbolu epoki. Kiedy potrzebne jest hartowanie słowa mieczem i błyskawicą, kiedy trzeba myśli i uczucia okra- sić na czerwono, zwracamy się do Lesi Ukrainki.

Dumnie podniesione czoło, twarda prawda rzucana w twarz nieprzyjaciółom — oto jest Lesia Ukrainka. Dostrzegamy pokrewieństwo Lesi Ukrainki z de- kabrystami i wolnomyślicielami, z rewolucjonistami z powołania oraz pisarzami zawodowymi.

Tak się złożyło, że praprawnuczką dzielnego kozaka Siefana, którego Bohdan Chmielnicki zaprosił na „dra- homana”, to znaczy na tłumacza wojska kozackiego, skąd została przy jej rodzice przezwiśko Drahoman już z dużej litery — została tłumaczką idei Marksa dla robotników różnych narodowości. To ona wypowied- działa następujące słowa:

Świadomi swego stanowiska robotnicy nie powinni zwracać uwagi na to, kto z nich do jakiej wiary na- leży (robotnik Niemiec na przykład nie powinien uwa- żać się za coś lepszego od Polaka, Polak — od Moskala, Moskal — od Ukraińca itd.), lecz winni trzymać się razem jedną wspólnotą, bo mają oni wszyscy prze- ciwko sobie jednego i tego samego wroga — klasę bogaczy, kapitalistów wykorzystujących pracę robotniczą. Toteż dla każdego robotnika świętymi po- winny być słowa: Robotnicy wszystkich krajów łączcie się!

Do realizacji tego hasła dążyła poetka od samego dzieciństwa.

Swoją pierwszą wiersz rozpoczęła Lesia Ukrainka od słów Wolność, nadzieja, Ukraina. Teskniła do wolności Jeszcze beztropko po dzieciństwie, ale ten przed- śpiew zabrzmiał już poważnie i głośno.

Kończyła dziewiętnastą wiosnę dopiero, przed nią była przyszłość, a już ciężka choroba przywiązywała ją do łóżka, usiłując zagarnąć do siebie niewolnicę „Jasnego boga Apollona”. A ona w przerwie pomiędzy chorobami, między tłumaczeniem Alfreda Musseta i „Pieśni” Heinego, wypowiedziała swoje credo: Zdobylam święte przekonanie, że z trzech zasad najważ- niejszą jest Liberté.

Ma jeszcze właściwie przed sobą drogę owego nie- ustannego zmagania się i walki, którą od początku do końca przeszła uczciwie Lesia Ukrainka, ale już wte- dy najdroższe dla niej pojęcie nabiera konkretności i realności codziennego chleba. Jeszcze w okresie wy- bujalej złotej wiosny stawia owo najdroższe słowo w jednym szeregu z innymi wyrazami wymarzonymi:

Kiedy ku niebu głowę w górę zagnę,
Nie szukam na nim gwiazdozbiórów nowych —
Braterstwo, równość, wolność — ujrząc pragnę
Skróć ciężkie zwalę czarnych chmur gradowych —
Te gwiazdy trzy złoście i wespolnie,
Co ludziami świecą w górę wieki całe...

(tłum. K. A. Jaworskiego)

Wyrazy braterstwo, równość, wolność podkreślone zostały przez poetkę.

Pseudonim Larysy Kosacz nie jest przypadkowy. Ukraina dostała się pod jarzmo społeczne i narodowe, obcy i swoi zdzierca „matkę krzyżowali”. Zabroniono Ukrainie języka, którym mogłaby opowiedzieć światu o swych bólach. Dola narodu ukraińskiego i podepta- nej godności narodowej podpowiedziały jej imię, które stało się jasnym orzełkiem młodej Kosaczówny. W jej nazwisku i w jej głosie odczuwała się sama Ukraina.

Tak jak wśród wysokiego błękitnego nieba groma- dzą się groźne gromoty, podobnie w talencie Lesi Ukrainki łączyły się ze sobą tęsknota i brak pokory, duma i zwycięstwo, ból i protest, nadzieja, miłość i nienawiść. Musiała poetka lkać i nawoływać, musia- ła również smagać tłum ospały.

Lesia Ukrainka stanęła na tej wysokiej przelęczy życia duchowego XIX stulecia, skąd było bardzo blisko do wieku dwudziestego — gwałtownego, wybuchowego i atomowego. Ona wypowiedziała hasła — i wiele z nich stały nam w wal- ce do dnia dzisiejszego. Zrozumiała w poezji niepokoję swego czasu, śleć to z nich stanowią również nasze trwożki! Lesia Ukrainka jest na wskroś współczesna w tym głębokim zna- czeniu, w jakim żywi się dla nas Michał Anioł i Dante, Szekspir i Mickiewicz, Szewcenko i Puszkina, Petofi i Fran- ko. Ze wszechstronnymi obrazykami myśli porównujemy ją również i na tej podstawie, że przez całe swoje życie była budowniczym. Na tych podniebnych wierzchołkach li- teratury ukraińskiej, najbardziej demokratycznej w owym czasie, budowała i przerzucała mosty pomiędzy narodami i pokoleniami.

Najświętszym obowiązkiem każdego uczciwego pi- sarza jest dołożenie do tej budowlanej pracy cegiełki. Lesia nie znała odpoczynku — pieśni liryczne staro- żytnego Egiptu, hymny obrzędowe Rig-Wedy hindu- skiej, Homer i Heine, Shelley i Ada Negri — oto nie- które z jej zainteresowań przekładowych.

W literaturze ukraińskiej był genialny pisarz, który naj- tragiczniejsze problemy swego czasu przedstawiał na mate- riale z jednej wsi Rusów — to Wasyl Stefanyk. Rusowcy chłopcy znani są już światu z jego nowel. Lesia miała do swej dyspozycji wszystkie cywilizacje o nieograniczonym zasięgu czasowym i przestrzennym. Jej „Contra spem spero” przetłumaczono na najróżnorodniejsze języki, od esperanto do języka cygańskiego.

Tematy, obrazy artystyczne, bohaterowie w jej utworach mają zasięg światowy. Zarzucono poetce, że nie ma w jej twórczości tematów z historii ojczyzny. Chwalono jej „Ka- sandrę” jako... sztukę „z życia trojańskiego”. Dotychczas jesz- cze nie zdołaliśmy należycie ocenić jej twórczości.

Dramaturgia Lesi Ukrainki należy do dużych zdo- byczy literatury ukraińskiej i światowej. Tematy i problemy nieprzemijające poruszała ona podobnie, jak Ajschylos, Szekspir, Moliere, Calderon...

Życie Lesi Ukrainki jest jak legenda. Nie ta jednak le- genda z przeszłości, lecz z tej uwieszonej marzeniami przy- szłości, do której ludzkość przez stulecia dąży. Jej życie spada na ziemię ojczyzny jak gwiazda, meteor i tezza róż- nobierna. W jej słowie zmaterializowały się jakoby wszyst- kie lamente niewolnicze, jęki użamkniętego ludu. Jest to po- stać tragiczna, ale jakże jasna, wypełniona śpiewnym zycio- dajnym światłem duszy. Powiedzieć można, że to mityczna Karna i Zia ze „Słowa o puku Igora”, płacz i smutek, co ożyły w jednej osobie po dziesięciu wiekach, ale już nie tylko jako tęsknota i żal, lecz jak pokuta i kara.

Zyla kobieta, która miała pewną drogę przed sobą, miała charakter i zasady. Dokumentem cnót obywa- telskich, pryncypialności oraz solidności była i jest na- dal cała jej twórczość. Nie odstąpiła ona ani na krok „na lewo” czy „na prawo” od swych ideałów, upodo- bała i przekonała.

Oto jeszcze jeden rys dla duchowego portretu Lesi Ukrainki.

Szczerze radzono jej „rzucić politykę”, zająć się spo- kojną pracą, wyjechać do Galicji, gdzie swoboda była trochę większa. Szukano dla niej pracy — badawczej, w archiwum... W związku z tym pisała Lesia do My- chajły Pawłyka:

Nie, przyjacielu, poradziwszy się szczerze swej du- szy nie mogę obiecywać, że w kraju o większej swo- bodzie żyć będę ciszej, niż żyłam na ziemi bardziej zniewolonej... Dopóki nie porzucam pamięci o użam- kionej Ukrainie, nie mogę, nie jest w mej mocy od- zęgnąć się od tego, czego dotychczas nie zaniecha- lam w warunkach o wiele gorszych. W takim razie należałoby porzucić także moją poezję, moje słowa szczerze, bo wypowiadać i pisać je odzęgnawczy się od tej sprawy, do jakiej one używają innych — to wiel- ką wstyd... musiałabym wtedy złożyć moją „broń jed- ną” — słowo i stać się pluchoniam... Nie mogę się ważyć na takie samobójstwo, nie mam jeszcze takiej odwagi, jeszcze się nie nauczyłam duchowo, jeszcze nie spróbowałam jak należy swej siły i już miałabym ją zaniedbać, przyduśić, „odzęgnąć się”? Nie, nie mam odwagi, rzucacie na mnie kamieniem, Nie mogę.

Symptomatyczny jest ostatni epizod życia twórczego Lesi Ukrainki. Jej pieśnią labędzia był konspekt poe- matu, dyktowanego matce, Olenie Pencze. Fabuła poematu odnosiła się do tych czasów, kiedy wiara chrześcijańska była już umocniona, a jej rzczyzny prześladowali naukę filozofów greckich. Uczonego Teokryta uwieziono za to, że propagował „herezję”, odciągał ludzi od dogmatów chrześcijańskich, nauczał, iż „nie ma niewolników bożych, są i powinni być lu- dzie wolni cielesnie i duchowo”.

Chcę uratować pisma ojca, dzieci chowają je na pustyni w płasku. Kończy się noc, wschodzi słońce. Dzieci padają na kolana przed słońcem...

Poetka chciała wpiąć zakończyć swój ostatni poemat przekleństwem, później zdecydowała jednak: No, niechaj „ostatnich akordem” będzie modlitwa do He- liosa...

Zarys kończy się słowami:
Może przyjdą lepsze czasy. Może ktoś znajdzie owe skarby i zapozna się z wielką mądrością. Heliosie! Ratuj nasze skarby! Powierzamy je Tobie i złotej pu- styni!

Widzimy jej wymęczoną przez ostatnią chorobę twarz na tle ogromnego pustkowia, nie takiego znów beznadziejnego. Zyli jeszcze jej przyjaciele jednakowo myślicy: Iwan Franko, Wasyl Stefanyk, wierna przy- jaciółka Olha Kobylańska. Słyszmy jej przejęty głos o młodym Maksymie Rylskim. W jednym z numerów czasopisma „Literaturno-Naukowyj Wistnyk” drukuje się obok niej jeszcze jeden młodzieniec — Pawło Ty- czyna.

Myśli swe prorocze, gorące marzenia, swe cenne słowa przekazała poetka naszym czasom. Pierwsze słowo skierowała do Ukrainy, ostatnie zaś podarowa- ła światu — i świat przyjął ową słoneczną myśl.
Uważałam i uważam za swój obowiązek i honor przekazać czytelnikowi rosyjskiemu poety, bogactwo poezji i oryginalność tego wielkiego talentu, który nie ma sobie równych wśród poetów-kobiet w świecie tak- ze względu na wyszytny twórce, jak i życie — mówi Maria Komisarowa.

A Silwa Kaputikian pisze:
Jak mogła Ukraina w owych czasach wydać z sie- bie taką kobietę? Myślę i dochodzę do wniosku; wła- śnie Ukraina! Ból i gniew jej ziemi ogromnej, ale zniewo- lonej, jej narodu wielomilionowego, lecz zakutego w kajdany, jej tęsknota zranionej orlicy za niebem, swoboda i rozmachem skrzydeł. Lesia Ukrainka jest uosobieniem ziemi, narodu i jego duszy. Tak, to Ukrain- ka z dużej litery!

Ukochala ona „jasny orzeł”. Po rycersku szanowała sprawiedliwą stal miecza, kindżału, pióra. Nie porzo- ulla jednak kłaść metalowych włanków na ostatni swój żalobny powóz. Naoczny świadek opowiada o morzu kwiatów, w którym utonął trumna i kareta.
Było to tak cudowne, tak urocyste i proste... jak na obrazach Botticellego, gdzie wszystko tonie w kwiatkach, girlandach i cieniułko splecionych dzie- łałkach... I nie chciało się myśleć, że to pochód śmierci...

I do dziś dnia nie możemy w to uwierzyć. Daruje- my jej każdą „wiosną czarowną”, młode swoje lata, bierzemy natomiast w drogę jej słowa, podobnie jak chleb, jak sól, jak błogosławięństwo matki.

STARY rzucił na nich gniewne spojrzenie spod oka. Siedzieli na samych brzołkach krzesel, sztywno wyprostowani i nieruchomi. Woda skapująca z peleryny chłopaka i kurtki dziewczyny tworzyła na podłodze mokre plamy. Na brudnych ścianach, tworzących tło ich twarzy i rąk, połyskiwała wilgoć. Ich ręce pozostały nadal złączone, jak wtedy, gdy szli przez płaską, wilgotną równinę do jego domu. Smukłe palce dziewczyny już wcześniej zbudziły w starym niepokoju.

Stal przy oknie i patrzył, jak wiatr z kłopotem goni pustym polem blaszaną puszkę po konserwach, zerwaną z usypiska śmieci, i jak poruszają się karłowate, brzydkie krzewy sterujące tuż przy samej ziemi. Drażniło go ich niecierpliwe drżenie.

— Rozbierał się! — krzyknął nagle, jakby tamci stanowili jedno.

— Tak pan nie powinien mówić — powtórzyła dziewczyna, nie odwracając głowy.

— Możecie zostać — powiedział nie czując ulgi.

Wiosenne, letnie i wczesnojesienne dni zastawały go na proździe promi, wyprostowanego gniewnie i z dumą. Wyniosłe słuchał ludzkiego gwaru i śmiechu pomykającego po wodzie. Gardził ich wścibską krzątaniną i niedokonywanym braterstwem. Patrzył na niego z lękiem i wzruszał ramionami. Był chłodny, jak oddech rzeki. Nawet wielka wojna bez azyłu ominęła go bokiem, jakby bojąc się dotknąć tej zadufanej samowystarczalności. Ludzie szybko zostawili go w spokoju. Teraz przyszedł do niego; młodzi, przestraszeni, nieświadomi. Żeby zburzyć jego spokój gromadzony w rozpacz przez całe lata.

Mógłbym ich zabić. Zabiłbym ich z przyjemnością, za ich niewinność i brak wyrzeczeń, a najbardziej za to, że mają siebie. Chryste, budowałem tyle lat, a wystarczyło pół dnia... Ale pragnę ich... Jej pragnę!

Nie myślał tak. Wyczuwał to równie mocno, jak swoje myśli.

„Masz ją!” — krzyczał do chłopaka. „Masz wszystko! Już widzę, jak cię kocha. Widzę to w jej oczach i w niej całej. Niech cię zostawi! Niech cię opuści! Niech cię zdradzi! Niech zostawi cię samego! Niech umrze szybko i nagle! Za mnie!”

Rzucił pogrzebac z hukiem na blaszaną płytę. Rzeka dudniła nad nimi, a twarde deszcz wciąż tłukł z wściekłością o dach. Grube krople spływały po szybie, jak pot. Dłonie dziewczyny leżały splecione na jej brzuchu.

Stanisław Gaszyński leżący samarytanie

szanowni samarytanie
ratujcie resztki swoich
marzeń istnień zewłoków

samarytanie naiwni
czemu leżycie
w ciepłych kaptach i bez czucia
na rozdrożach westchnień?
wraże państwo zjadły
dobre gryzonie
drobnych marzeń

samarytanie odwieczni
czemu leżycie bez czucia
nie bacząc na ciężarówkę?
czyżby wasze
szczęścia nieszczęścia smutki radości
i tym podobne banały
zbiegły się w martwy punkt?

faryzeusze wiekiści
czyż leżycie tak
w błaganu o cierpiącego?



Alina Guzowska ptasi dom

setny
zaskwiercał
pod językiem ognia
zaproszonego

a rankiem świętecznym
ptak zabłąkany
przysiadł na pogorzeliśku
i opatrzywszy dziobem
nadpalone pióra
cisze rozpostarł
nad oglupiałym z sytości
człowiekiem

Piotr Grauman

wycieczka

jeszcze w zeszłym tygodniu
odjechałem bardzo daleko
koleją transsyberyjską —
za dużo w nim było miłości
i racjonalnego myślenia

dziś świeży i wypoczęty
naklejam przed lustrem
ład na czoło
skrojoną na cacy trumnę
już za godzinę odsyłam młodszemu bratu

mojego wzrostu i konstytucji

gołą siedmiodniowy zarost
wyciskam krostką na nosie

wracam



Rys. D. Opolski

Michał Tracz Wybór

piśać czy błędzić drogą po amacku
przetwarzając wrażeń zamglone kolumny
jaką odpowiedź przylepić na wargach
gdy w tłumie zabraknie winowajcy

wybrańcy wieku z kastetem w dłoni
śladem człowieczym przemierzając glob
tych obojętnych gestem przepędzamy
gdyż naszym domem poszczerbiony mur
o nie oltarzy wydumana wielkość

a kiedy w klepsydrych piasku zabraknie
skapani blaskiem dygocących pół
dłoniach zachłannie przytrzymując wieko
umierać będziemy bez huku bez sań

Kazimierz Rosiński

konopny przyjaciel stryk
podpatruje mnie wylupiało
postępuje za mną złyta figura
wszystko co mam to moja syra długa

już chłód obliżuje ostre gwiazdy
rybacy na wiatr zarzucili sieci
lecz ja uniosę cię moja syra z sercem sarny
jak złodziej unosi colonocny łup

NIECIERPLIWOŚĆ

Wiesław Horabik

Podnieśli się posłusznie, a chłopak pomógł dziewczynie zdjąć kurtkę. Powiesił oczekując wodą okrycia na kołku przy drzwiach. Stary obserwował z lubością jego niepewne ruchy.

W wielkiej ciszy tykał rytmicznie zegar i wiatr przypędzał głuche odgłosy wozbranej rzeki.

„Ten deszcz będzie ostatnią kroplą, żeby go szlag” — pomyślał stary ponad tym całym niepokojem. „Jak popada tak jeszcze trochę, diabli wezmą wszystkie moje obliczenia”.

Rzeka od kilku dni bezustannie przybierała i stary zląkł się śmiertelnie, że przerwie wały i rozleje się szeroko po równinie. Słuchał jej wrzasku i mamrotania całe bezsenne noce, wyrzucając się na wąskim wyrywku zarzuconym szmatami, na którym spał od czasu śmierci Anny.

Tych dwoje znowu siedziało obok siebie ze splecionymi dłońmi. Stary odwrócił się od okna.

— Czego chcecie? — warknął.

Zobaczył ich, kiedy tylko wyszli zza bujnej kreczy horyzontu. Dwa małe punkty, rosnące uparcie na przekór jego złości i przerażeniu. „Po co tu idą?” — myślał niecierpliwie. „Kto to? Co u diabła ich tu niesie?” Nienawidził tych bezosobowych postaci; chłopaka przygarbionego pod ciężarem torby, którą dźwigał na plecach, i dziewczyny, której długie włosy szarpał wiatr. Poczł nienawidzić, kiedy tylko rozumiał, że celem ich drogi jest jego dom.

— Czego chcecie? — powtórzył.

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie patrzeć na dłonie dziewczyny.

— Chcieliśmy, żeby przewiózł nas pan na drugą stronę — powiedział chłopak.

Stary zaskrzeczał krótkim śmiechem.

— Nie znasz tej rzeki, synu — powiedział bez cienia pieszczotliwości w głosie.

Kochał ją; była dla niego bóstwem; na dobrą sprawę nigdy nie rozumiał, czemu z nim została. Nawet chłopięce marzenia nigdy mu jej nie obiecywały. Anna — do której mówił nocami i dla której odszedł od ludzi. Wesoly, krzepki chłopak, o rozśmiałych bezustannie oczach, który w ciągu roku stał się starcem.

Pewnej nocy, w rok po tym, jak złożyli ją w tej piaszczystej hardej ziemi, rodzącej tylko żalostne krzewy, zrozumiał, że nie umiera. Od tej pory rozmawiał z nią każdego dnia i razem odbywali wycieczki do płatego zakrętu rzeki, do miejsca, gdzie nosił ją na rękach w wiosennym słońcu, gdy wszystko inne już zawiadło.

Dreptał po zagraconej kuchni w gniewnym pośpiechu, a oni zerkali niepewnie na jego żylaste, duże dłonie i drewnianą, nieruchomą twarz. Rzucił na nich od czasu do czasu krótkie spojrzenia. Dziwnie mówił, tłumiąc to wewnętrzne rozdygotanie, aż kurec chwytł go za szczyki.

— Nie chcę was. Wcale was nie chcę. Nie potrzebowałem was od samego początku tego całego zafajdanego świata. Po co tu przyjeżdżacie, u diabła? Nie dam się nabrać na takie gadanie. Woda jest teraz niedobra. Nawet ślepy to widzi. Kto was tu przysłał? Kto nagadał wam o mnie? Nie chcę was. Słyszycie?! Jazda!

Stal nad nimi ze skurczoną z wściekłości twarzą. Jego złe oczy poruszały się niespokojnie.

Wtedy, w pierwszą noc po śmierci Anny, upił się do utraty przytomności. Wczesnym wieczorem leżał w kurzu, skowycząc z tłumionej rozpacz i wymiotując przez próg. Pustka siedziała w wielkim domu; osiadła potem w każdym jego ruchu i w każdej jego myśli. Wtedy stary upił się regularnie. Nienawidził nocy, kiedy leżał na wznak chcąc wcisnąć rękami ból łożadka i pokonać pragnienie.

Ich jednoczesny gest, kiedy podnieśli się z krzesel, przeraził go.

— Nie powinien pan tak mówić. Idziemy — powiedziała dziewczyna.

I tylko tyle.

Patrząc na nich, kiedy ubierali się odwrócił do niego plecami, zrozumiał nagle swój strach.

— Pada — powiedział twardo — i idzie już noc.

Patrzył na nich z nadzieją, ale oni nie widzieli jego wzroku. Słyszeli jego głos.

Stali pod gankiem, w samym środku tej ulewy, a stary z gołą głową krzyczał, aż rozlegało się echo:

„Co?! Po co?! Jak to?! Jazda!”

Dziewczyna zwróciła głowę w bok i popatrzyła na rzekę. Chłopak zdjął z pleców torbę i położył na wilgotnej ziemi. Jego oczy wpatrywały się w starego z uporem. Z podniesionym kołnierzem kurtki, nie ogoloną twarzą i włosami rozsypanymi przez wiatr stary wyglądał, jak wielki rozszalony ptak.

— Jazda stąd! Woni! — przekrzykiwał wiatr i gniewne dygotanie rzeki. Patrzyli na niego w zdumieniu.

A jednak nie zatrzasnął drzwi do brudnej sieni, pełnej rupieci, kiedy już wbiegł do domu, nie mogąc znieść widoku dłoni dziewczyny, kiedy nerwowym ruchem odsunęła włosy, tak bardzo przypomniawszy mu to Annę. To była chwila, w której zdradził swą upartą wytrwałość.

— Możecie zostać — powtórzył bez rezygnacji.

Pochwycił ich wzrok, kiedy popatrzyli na siebie.

Dziewczyna wyjęła z torby ich zapasy i rozłożyła na stole. Pochyliła nisko krocila zrecznie chleb. Chłopak patrzył w milczeniu w zamazaną szybę. Stary długim, żelaznym pogrzebacem rozgrzebywał palenisko. Sypki, siwy popiół z kawałkami niedopalonego węgla wrzucił z łoskotem do brudnego kubła. Drzwonił żelazem o ruszta.

Lóżka w tamtym dużym, chłodnym pokoju zasłał starannie i zmienił pościel co tydzień, jakby co noc wchodził do nich z Anną. Zostawił je czyste i nietknięte jak relikwie. Ten pokój był jego ucieczką i bezustannym źródłem niepokoju także. Jego chłonna, maniacka wyobraźnia zaludniała go jej śmiechem, gestem, który kochał, i jej głosem.

Stary kochał zapalczywie ziemię. Chodził po niej boso, gdy tylko obeschła na wiosnę i aż do wczesnej jesieni, kiedy zaczynała twardnieć pod pierwszym oddechem zimy. Na tej opornej ziemi Anna wyhodowała kwiaty.



Rys. E. Inglot

Skończył i poszedł wyrzucić popiół, a potem wracając, zobaczył ich nagle w skrócie; wąskie plecy dziewczyny pochylonej nad stołem, wielki cień jej głowy na ścianie, sylwetkę chłopaka z twarzą wysuniętą do przodu; wszystko to wtopione w matowe, bezbarwne we wczesnym zmroku światło. Gniew znowu podkoczył mu do gardła.

„Są tu” myślał w pośpiechu. „Długie lata byliśmy sami. Tylko my; ja i ona. Chodzą tu jak u siebie. Nie mają prawa. Kto im dał takie prawo?”

Obrzucił ich złym wzrokiem. Dziewczyna odwróciła głowę, kiedy wszedł. Czuł, że coś zmienia się tak szybko, że już rozpoznawał czyhającą za tym rezygnację. Chwytł go niepoohamowany gniew za zdradę, jakiej dokonał. Po raz pierwszy na nic się zdała żywotność jego wyobraźni. Zaciskał do bólu palec.

„Woni!” — krzyczał w duchu. „Nienawidzę was! Nienawidzę was, jak samego plekła! Niech was plekło pochłonie!”

A czuł:

„Są tu. Wleźli z butami w moją pustkę, którą już nauczyłem się zapamiętać. Żil, jak sama śmierć, chociaż nieświadomi przynieśli mi niepokój, strach i beznadziejność. Mordują mnie w moim własnym życiu.”

— Gotowe — powiedziała. — Wszystko już gotowe — i uśmiechnęła się.

Stary odwrócił się w furii.

— Żeby was diabli! Nie chcę was! Nie chcę! Nie chcę! — wykrzykiwał z wściekłością.

Jako chłopak uciekał w deszczowe dni do pustej, niczyjej szopy stojącej za osadą. Tam kładł się na workach rzuconych na kupę pod ścianą i słuchał szelestu wody. Pachniało rozmoakłe drewno i wilgotne płótno. Pachniała też miętka, rozkopana ziemia. Śliskie dżdżownice wypęły gdzieś ze swoich kryjówek. Stary myślał wtedy o wszystkim, co było złe. Od tej pory nie mógł się zmusić, by polubił deszcz. Teraz ruch kropel po szybie, który przypominał mu tamte dżdżownice, rozniecił w nim wściekłość.

Chłopak wyprostował się na krześle. Dziewczyna podeszła i dotknęła dłonią rękę starego, a on upadł na kolana. Patrzył jak płacze.

Leżał w chłodną zimową noc zapatrzonej w ciężką, jednobarwną plamę sufitu. Kanciaste sprzęty obramowane przez mrok sterczały twardo w chłodnym blasku. Wielkie gwiazdy paliły się za szybą. Stary dygotał pod cienkim, szorstkim kocem. Bolała go głowa i plekły oczy. Bał się. Strach spoglądał na niego z kątów pokoju i z brudnych gładkich ścian i zza szyby, rozpostarty w szklanym martwym powietrzu. Anna szła obok niego wielką szosą za miastem i biegła po zielonej łące pełnej kwiatów i całowała go, a stary pochylał się, by dotknąć jej ust. Potem wielkie ptaki furkotały straszonymi skrzydłami, zapelniały pokój nieuchwytnym szelestem i obsadzały samotne drzewa rosnące na pustym jałowym polu. Kiedy ją zobaczył, wyprostował się na łóżku i leżał chwilę nieruchomo, bojąc się poruszyć. Potem przemówił do niej ochryplym, dziwnym głosem i przestraszył się jego brzmienia. Od tej nocy przychodziła częściej.

Rano stawali nad rzeką i stary dzielił się z nią swoim niepokojem.

— Dawno już nie podeszła tak wysoko — mówił, a jego głos brzmiał niepewnie w wielkim rozdygotaniu przyrody.

— W rok po tym, jak tu przyjechalismy, pamiętasz? Też była wysoko, ale nawet wtedy nie podeszła aż tak.

Rzeka niosła w rwącym prądzie odłamki lodu i kryzy rudej plany i kawałki drewna.

Ludzie szli w wielkim pośpiechu całą gromadą. Wypełniali szalenie wąskie strumienie ulic i wchodziłi po wielkich, kamiennych schodach. Toczyli się z niepokojem, jak kury przed burzą i spacerowali wolno w czystej zieleni. Ich głosy dudniły jak pomruk morza i krzyczały jak pisk ptaków. Stary siedział sam w kuchni, na niskim zydlu obitym ceratą i były święta. Do bólu pamiętał ciężki zapach domowych ciast i żywy ciepły jody. Za oknami walił śnieg grubymi płatami.

— Jest pan bardzo zmęczony — mówiła. — Jest pan zmęczony do samego końca. To wcale nie jest tak. Nie chcemy nic panu zabrać.

Stary nie słuchał jej. Zaciskał swoje wielkie dłonie na jej szczyptych palcach, wyrzucając w placu cały swój gniew, niepokój i przerażenie. Wielka samotność stała obok niego, a jej cień ogarnął cały pokój, nie zostawiając ani skrawka wolnego miejsca dla nadziei.

Oddał im łóżko-relikwie i leżał na swoim twardym wyrywku, pustym w środku i obojętnym. Ich głosy dobiegały go czasami z daleka. „Jesteś jak ona” — myślał z rezygnacją. „Masz takie same dłonie i taki sam uśmiech i masz wiele z niej. Kocham cię!”

A potem kłęczał na twardych deskach i mówił:

„Jednego czego pragnę, to jej. Zostaw mi ją. Musisz mi ją zostawić, jeśli skazałeś mnie na życie”.

W środku nocy stojąc pod drzwiami tamtego pokoju wołał:

„Mówcie! Mówcie! Chcę was słyszeć cały czas!”

Gdzieś u stropu zobaczył znowu wielkie ptaki ze zwiniętymi skrzydłami patrzące wyciekająco.

Nie pytaj komu bije dzwon...

Waldemar Bugaj

Czasem stęskniona okrutnie pojawia się ludzkość do mojej dawnej twarzy iść na moich dawnych stopach i dotykać ich śmiechem dającymi rękoma

CZĘSTO, a nawet zbyt często, docenia się ludzi dopiero wtedy, gdy życie mają już poza sobą. Dotyczy to również Haliny Poświatowskiej, poetki, która ostatnio stała się sławna i modna, a jej tomiki poszukiwane. I miał rację A. Waśkiewicz gdy pisał: dopiero wreszcie śmierć spowodowała zmianę. Poświatowska stała się nagłe głośna. Śmierć jak gdyby dowartościowała tę poezję, nadała najprostszym zdaniom walor dodatkowy.

Program Z. Kucówny, nadany przez telewizję 1 sierpnia ub. r., wzbudził nowe zainteresowanie poetką i nie dziwnego, że w księgarniach często słyszy się pytanie o jej dawno wyczerpane już zbiorki poezji.

Urodziła się 9 lipca 1935 roku w Częstochowie. Przeżyła wojenne daleki i sobie zaraz po wywołaniu. Początkowa angina przerodziła się w zapalenie stawów, a później w chorobę serca. Rozpoczęła się uciążliwa, trwająca prawie całe życie wędrowna po szpitalach. Kraków, Warszawa, Poznań — wszędzie starano się podleczyć chore serce. Wielkie zasługi ma tu prof. Julian Aleksandrowicz, który był dla Poświatowskiej nie tylko leka-

księgarskich kilka miesięcy przed śmiercią autorki.

W jednym z wierszy pisanych na krótko przed śmiercią pytała:

Czy świat umrze trochę kiedy ja umrę i sama dała odpowiedź: A jednak miło jest pomyśleć że świat umrze trochę kiedy ja umrę

W tych słowach, chociaż tak wiele goryczy, nie brak i satysfakcji, że w swoim „umieraniu” nie będzie osamotniona, że wraz z nią umrze cała światła.

Można postawić pytanie: czemu zawdzięcza Poświatowska swą trochę spóźnioną popularność: tragicznej biografii czy poezji? Sądzić należy, że obydwie przyczyny są ważne. Jej poezja była fałszywa, gdyby nie krył się za nią człowiek uwikłany w rozpaczliwą walkę z losem. Trudno oddzielić ten tragiczny życiorys od wierszy, które z zasady są poetyckim przejawem biograficznej prozy:

Halina Poświatowska to jest podobno człowiek i podobno ma umrzeć jak wielu przed nią ludzi Halina Poświatowska właśnie teraz się trudzi nad własnym umieraniem.

Wiersz ten, napisany na krótko przed operacją, był wynikiem rozmyślań i przeczuć. Śmierć, mimo udanej operacji, stała się obsesją Poświatowskiej. W sukcesie lekarzy, który był również jej sukcesem, podejrzewała przecież „ciemne machinacje losu”.

Przeżyła, tak dla niej okrutnie, nauczyła ją obcować ze śmiercią. Przyzwyczaiła się do niej i wyrażała o niej jak o kimś bliskim: Śmierć była zawsze blisko mnie, zbyt blisko, abym nie przywykła do jej kojącego dotyku, abym nie musiała do niego przywyknąć.

Obsesja pogłębiła się jeszcze bardziej po śmierci męża — Adolfa Poświatowskiego.

Trudno się dziwić, że Poświatowska nadużywała tego motywu, bo przecież nie łatwo wyzwolić się od myśli tej:

Żywym słońce poślaca policki wiatr włosy rozrąca

dobra ziemia rodzi rozdziewki i jabłka a jemu — co?

Żywojm kwitną kwiaty na łące i kolory na płótnach życia uśmiechają się i placzą karty książek a jemu — co?

Mimo wiedzy, iż każdy z nas skazany jest na śmierć, przemawia przez poetkę zardłość, gdy pisze:

minął minąłem już nas nie ma a ten szum wyżej to wiatr on tak będzie wieczność wiał

Przez natarczywość najtragiczniejszej formuły egzystencjalnej „sein zum Tod” zmusza swych czytelników do zadumy. Obcuje z tą poezją można stwierdzić, że jako poetce udało się Poświatowskiej przyzwyczaić do myśli o śmierci, ale czy jako człowiekowi udało się jej to również?

Śmierć to tylko jedna z dwu wielkich sił rządzących poetyckim światem Poświatowskiej. Drugą jest miłość:

miłość tak — ona jedna nie podlega wpływowi czasu trwa jeśli jest — jest wieczna

Miłość zmysłową, naturalną, bez fałszu odnajdujemy w większości wierszy:

oparła się na stoku wiśnia seledynowa wiotka o barki rozlego światła ciemno patrzył na nią gęsto między liście kolce przetkał i w pół i nad ziemią zielenią

osunęła się na trawę srebrna rozkwitła a niedojrzała otworzyła i w głąb ciała wszedł on mocny giętki zadrzała na stoku na zielonym nad Dunajcem nad przedkiem

Marzeniem poetki jest uczucie, które byłoby czymś codziennym, nie od święta. Dlatego wita kochanka

„pocałunkiem najprościej”, chociaż do spotkania przygotowuje się niezwykle starannie:

powlokłam lakierem paznokcie i moje palce błyszczą panie mój bądź miłością moim myślom

obrysowałam ciemną kredką

powieki i niebo gwiazdziste odbija się w moim spojrzeniu panie mój bądź miłością moim pragnieniu

Dość często odnajdujemy w utworach Poświatowskiej nie tylko to, co przeżyła sama, lecz również odwołania do mitów wielkich miłośców: Tristana i Izoldy, Heloizy, Bereniki, Ofeli. Poetka szuka podobieństwa przeżyć, a niekiedy unowocześnia swoje bohaterki i motywuje ich działania współczesnymi kategoriami postępowania i myślenia. Nawiązania do tych motywów mają jeszcze jeden ważny cel — poetka zardłość im trwałego śladu jak zostawiły w historii. W znanym wierszu „Jestem Julią” ujawnia swoją gorycz, iż nie jest tą prawdziwą, szekspirowską, która ma lat tysiąc i żyje.

Jej poezja, niezwykle komunikatywna, nie zawsze jest jednoznaczna. Jedno wydaje się pewne — poetka ustanowiła swoje własne normy przeżywania. Wyzywała się w swej poezji pruderii i fałszu, a czytelnikowi starała się przekazać to, czego nauczyła ją samotność i okrucieństwo losu.

Udało się jej pomiędzy krańcowe słowa — miłość i śmierć — wpieścić negatywne o istnieniu. Mając pewność, że świat umrze trochę, kiedy ona umrze, powtórzyła poetyckim językiem znane motto z powieści Hemingwaya: Zaden człowiek nie jest samotną wyspą; każdy stanowi ułamek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona tak samo, jak gdyby pochłonęła przylądek, włos twoich przyjaciół, czy twoją własną, śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością, przeto nigdy nie pytaj komu bije dzwon, bije on tobie.

Okolice sztuki

Dramat Tomaszewskiego

WKATALOGU wystawy pośmiertnej Mariana Tomaszewskiego znajduje się dzieło: „Minęły trzy lata (w 1971 r. — przyp. aut.) od chwili, gdy odszedł od nas tragicznie osamotniony”. A przecież wiem, że całe życie spędził wśród ludzi przyjaznych, ceniących go za prawdość charakteru i udzielającą się otoczeniu pogodę ducha. Może jednak był za bardzo wśród ludzi?

Po opuszczeniu pracowni Felicjana Kowarskiego w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych pracował w szkole w średnim — był wśród młodych ludzi codziennie, był chyba także wśród nich po zakończeniu zajęć lekcyjnych, bo nikt, kto ma do czynienia ze „szkołą dla moralnie zaniedbanych na Bródno w Warszawie”, nie trafia do azylu prywatnego mieszkania bez psychicznego bagażu, wyniesionego stamtąd. Może właśnie

wówczas zaczął zastanawiać się nad wniknięciem norm moralnych? Do końca przecież pozostał człowiekiem uczującym, faworytem młodzieży i nieudacznikiem marzących o artystycznej sławie.

Zawsze fascynowała go sztuka naiwna, „prymitywna”, sztuka ludów pierwotnych i egzotycznych. Podczas pobytu w Lublinie, gdzie spędził całą okupację wykładając w szkole malarskiej Janiny Mitosławskiej, namalował serię gwaszy, o których świadkowie tamtych czasów wyrażają się z najwyższym uznaniem. Znam te prace tylko z niewielkich i przydymionych fotografii, przysłanych przez jego brata. Na jednej widnieje ukryżowana postać, która jest bardziej człowiekiem niż bogiem, otaczają ją lufy karabinów i wrosczone, zgeometryzowane twarze. W innych latach określano zapewne te obrazy jako nowoczesne; na pewno wyróżniały się na tle malarstwa lubelskiego, opiewanego przez dziewiętnastowieczne pomysły na życie i sztukę. Zaraz po wojnie, w roku 1944, niejednokrotnie stał w ich obronie, atakowany szczerze podczas dyskusji w kawiarni „Pod Fieletą” przy Krakowskim Przedmieściu. Potem silną zabrał.

Ale w tym pierwszym okresie, „Polski lubelski”, demonstrował nie tylko obrazy, lecz i sporą energię organizacyjną. To właśnie Marian Tomaszewski doprowadził do utworzenia pierwszego po wojnie Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków i został jego prezesem. Miał w sobie niemal biologiczną skłonność doładu, do porządku, trudno powiedzieć, czy nabytą podczas pracy w szkolnictwie, czy też wrodzoną.

Kiedy w 1945 roku pojawił się w Szczecinie, zaczął z miejsca organizować: Oddział ZPAP, Szkołę Sztuk Pięknych, przemianowaną w trzy lata później na Państwowe Ognisko Kultury Plastycznej, istniejącej do dziś „Klub 13 Muzy”. Jego mieszkaniem, w którym było kilkanaście kotek, foteli, kanap, szelągów, stało się miejscem codziennych spotkań niezliczonych jeszcze pionierów sztuki polskiej na Ziemiach Odzyskanych. Często gościem w tym siedmiopokojowym lokalu był Emanuel Messer, poeta — legenda szczecińskiej plastyki, ba, całego Szczecina, który zmarł niemal w tym samym czasie, co Tomaszewski. Messer tak wspominał mieszkanie przy ul. Wielkopolskiej 21:

„Oprócz, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, wartości socjalno-bytowych mieszkanie Mariana było jeszcze cenne z punktu widzenia strategicznego: tu mogli się, jak na ziemi niezajętej, swobodnie spotykać „realiści” z „formalistami” i każdy czuł się jak na własnym terenie, bo Marian miał szlachetną, poddyktowaną zapewne przez grzeszną zasadę, że w swoim domu nie zajmował żadnego stanowiska. W czasie najgorętszych potyczek słownych krążył między nimi po pokoju z twarzą ewangelisty, podsuwał półmiski...”

To „niezajmowanie stanowiska we własnym domu” okrutnie znakomicie pasuje do malarstwa i rysunków Tomaszewskiego, powstałych po przeniesieniu się autora w 1950 r. do Warszawy, gdzie mieszkał, organizował kolejne ogniska plastyczne, współpracował z czasopismami, wykonując winyety i rysunki. Dorobek Tomaszewskiego pokazany w lutym w sali lubelskiego BWA jest przede wszystkim świadectwem utraty indywidualności twórczej przez człowieka, który zaraz po wojnie mógł śmiało powiedzieć, że należy do polskiej awangardy plastycznej. Parafrazował Picassa, Legera, Miro, momentami, jakby w przeświadczeniu zobaczenia szansy artystycznej, nawiązywał do swojego malarstwa sprzed lat — stylizując się na samego siebie.

Może to błędny wniosek, ale wydaje się, że osobowość twórczą Tomaszewskiego zatarty lata pracy pedagogicznej. Nauczal w zbrojony w zasady, normy i kanony, jako profesor wymagał szacunku dla autorytetów, a sam poddał się autorytetom, niemal niewolniczo. Historia też nie okazała się zbyt życzliwa, kiedy zaczął się sprzątać jako indywidualność, skierowano go na precyzyjne wyznaczone ścieżki. A obrazy, dające mu przepustkę do trwałego miejsca w dziejach polskiej sztuki nowoczesnej, spłonęły podczas pożaru gmachu Informacji i Propagandy w Szczecinie, gdzie je wystawiał w 1945 r. Nie znam bardziej dramatycznej i przynębiającej biografii artystycznej, lecz wierzę, że postać Mariana Tomaszewskiego nie pójdzie w zapomnienie.

IJK

Listy do KAMENY

To nie niedźwiedź!

Z dużą sympatią siedłem do czytania repiki Franciszka Piłkowskiego, spodziwałem się, że coś się w niej dzieje dla obrony publicystyki. Obrony publicystyki nie znalazłem, znalazłem panegirycy na cześć Piłkowskiego, który przytknąwszy sobie do oblicza lustro z gatunku pochlebnych grzybi, że nie miałem prawa pisać, jak napisałem, co łatwo zrozumieć w ten sposób, że przed podjęciem ataku na publicystów powiniennem był uzyskać imprimaturę Piłkowskiego. Nie miałem prawa, bo nie ulewa; nie ulewa, bo nie czytałem — jak sądzi Szanowny Oponent — eksponowanych przez niego autorów. Coś tam uprzednie czytałem, ale nie przyzwoły mi do głosu podsunął komunistyczny moje lektury, bo choć autorowi mam również zamiarów, nie ma wśród nich, niestety, spikera Izby Gmin. Nie proponowałbym nikomu tego rejestru z dwu dalszych przyczyn: przeciwnie, że Piłkowski może wstąpić uszytko, że drugie bardzo nie lubię, kiedy mi się podkłada pod nos Myśli Wielkich Mędzów — każdego ostentacyjnie stać na jakiś utwórny kompleks.

Piłkowski grzybi, że nie ulewa o tym i o tym i serwuje czytelnikowi z podejrzanym politycznym dowodem swoich intelektualnych konsekwencji. To również bez trudu się przekłada: oto zabierając głos w imieniu, był wyliczyć, co wiem, a czego nie wiem, czyli kłękając do modlitwy o kulturalne potopienie Lubelszczyzny, umiśnieniem był rozpocząć od Credo i krzyczeć na cały głos, żeby Oponent usłuchał: „Wierzę w Boga Ojca...” Inaczej Piłkowski przepędził mnie ze

świątyni i udowodnił czytelnikom, że — inaczej niż on — na łamy „Sztandaru” wkróciłem wprost z Ciemnogrodu, i że nie leży mi na sercu „naprawa kulturalnej rzeczywistości”.

Ponieważ nie wyklepałem żadnego Credo i nie stoczyłem publicznie przepisanego egzaminu, Piłkowski pozwolił przekonać, że jest jedynym kompetentnym, i że z tekstem przeciwnika może wyczynić uszytko, co też ochoczo uczynił. Polamał mój artykuł w nie-naturalnych miejscach niczym heretyka kosał nogi średniowiecznym kołem i dopisał do heretyka komentarz godny zaiste komentarza do „Pieśni nad pieśniami”.

Trudno o pretensje do Piłkowskiego: bawił się w końcu nie na swoim papierze, choć prawdę mówiąc papieru trochę mi stał. W każdym razie bawił się na swoją odpowiedzialność i na swoje nieszczęście, uciec jeśli w zaletach uszytko, to i owo — jego rzecz. Trudno mieć pretensje do Piłkowskiego, że proponuje mi do mojej redakcji czerzenie publicystów lub kwalifikowanie ich jako „stojaków”; nie ja, ale on proponuje — widocznie ma powody, może nigdy nie pisał reportażu z „szkółki”. Trudno mieć do niego pretensje i o to, że chwycił głowę w płaszcz i udaje, że nie rozumie prostych rzeczy i nie pochłania brzdąkch, bo nie jego intencja.

Piłkowski grzybi na mnie i cholernie je za atak na publicystykę. Byłoby rzeczą piękna, gdyby owe wywodzenia wspomógł paroma dowodami, świadczącymi na przykład, że publicysta lubelski (niektórzy nie uważają kulturalnej wiody. Publicysta jednak coś niecoś ma na sumieniu, może właśnie najulewając z zakreślenia innych zbyt często p r e s e n o w i e r z y z a s t e p z o — Panie Piłkowski — atakowanych celów. Piłkowski to zresztą przeciwnie stałając siebie skopiowanie poza tą brzdąk publicystyką, Piłkowski jest w porządku, inni publicysty be, a Madyj generalnie nie ma racji, bo mówi o etyce i nie podlega swoim wywodom postulatam Dzienną Galaję. Ze nie mam racji Oponent bez trudu dowiodł wywołując z artykułu parę fragmentów oraz badając im dowolny styl i dowolną interpretację. Ze powołując i tu Oponent jest subiektywnie fałr: skoro Piłkowski dowodził bez trudu Piłkowski, że poza nim i Wielkimi Mędzami nikt racji mieć

nie może, to w końcu nie dziwnego, że Piłkowski zwołał Piłkowskiego od obowiązków sumiennego wazania obcych tekstów, choć obiektywnie nie powinno być rzeczą obojętną, jakim kanonem podlega publicysta w swojej pracy. Przekładając to na preferowaną przez Piłkowskiego abstrakcję: jakie prawdziwa, takie buty.

Do wyjaśnienia jedna rzecz. Przeciwnie niż Piłkowski, nie uważam siebie za relikwii i potów jestem służąc Piłkowskiemu natwet za cel z a s t e p z y, pod warunkiem jednakże, że coś tym sposobem Oponent dla kultury zrobi. Piłkowski niczego nie zalał, można by więc skoryzwać ponownie z dostawczym znakomitego rycera Moldawianki i zaproponować: nie rozważamy kasy po stole. Alili konsystencja przedmiotu może, że to, czym Piłkowski się bawi, kasy nie jest, a stół ponad wszelką wątpliwość jego. Niechże się uciec bawi, tylko że ja z tej jego wojny się wycofuję.

Dlaczego? Nie lubię surogatów i łatwych triumfów. — Bo oto Piłkowskiemu w prywatną posiadkę utwór gruboskórny niedźwiedź. Wspólna ochota na miód nie uczyniła dotąd przyjaźni z bartnika i niedźwiedzia, ale nie można o to mieć do nikogo pretensji. Jedynakże Piłkowski, odziasz się w litę pancierz, z oszczepem w garści oraz z wielkim tłumem, postanowił odnieść zwycięstwo. Powyrywał mistwoi parę kłaków i (żeby latwiej zwyciężyć) podzielił kłaki na czworo. Oszołomiony triumfem dmie w róg na całą pastkę i trzęsie w tańcu wielkim dzwoniem. Tem, kto się nie bój jego kłaków, niech — zachęcam — spojrz, co też Piłkowski powraca na oszczep? Panie Piłkowski, to nie niedźwiedź! To to chwytaczyna kłaki!

Bogdan Madej

W dodatku niedźwiedź „Sztandaru Ludu” z 25-30 stycznia br. okazał się artykuł Franciszka Piłkowskiego „Wiosna” i ten był w świecie recepty ulatwionych”, będący repliką na mój artykuł „Lubelska kulturalna wojna publicystyczna” („Sztandar Ludu” — 13-14 stycznia br.). Ponieważ nie zgadzam się ani z tonem owej repliki, ani z zastosowaną przez Autora metodą polemizacji,

uznałem za stosowne Piłkowskiemu odpowiedzieć. Odpowiedź, wyczerpująco, zaproponowałem redakcji „Sztandaru Ludu”. Z powodów dla mnie niezrozumiałych tekst nie został opublikowany. Sądzę, że ogłoszenie go w „Kameniu” nie naruszy dobrych prasowych obyczajów.

B. M.

„Zabawa z elektroniką”

Nigdy jeszcze tak boleśnie nie przeżywałem komplekxu protoncji, jak po przeczytaniu listu z Warszawy (sic), zatytułowanego „Zabawa z elektroniką” („Kamena” nr 3). Wigo Europa stolica coraz bardziej staje się Europą — mamy wreszcie pierwszy osrodek gier automatyecznych, o „osrodek naprawdy miłej, inteligentnej i całkiem niezgodzowej rozrywki”. Tym reporterem — o uszytko bawia się inteligentnie strzelając torpedami do okrętów, z reusowaniem — do obmiarłych czerwonooskórnych. Zardzącać pana Juliuszowi Soleckiemu, który miał już możliwość „ubawić się po pachy”, marzymy smętnie: kiedyż to my w Lublinie będziemy mieć okazję „skontrolować uczucia, jakich doznaje pilot pojazdu kosmicznego w czasie lądowania na „Srebrnym Globie”? Mamym niesamitą nadzieję, że nastąpi to wreszcie, nim znikną stopy śmieci z Krakowskiego Przedmieścia i zostanie ukochana dodaj jedną z jubileuszowych „budów dziesięciolecia”. Jakaż to bezdnie radość, gdy stali bywalcy „Smakowa” przed „Pod Kacuzką”, zamiast kontrowersji po huczałach w okolicznych bramach przebiegają stają w kolejce po setony do „Lunar Orbiter”. Rozważanie ciężkich problemów wykołowej młodzieży jest już bliżej Krostowcać rozbiłaniem latań w Szklim Ogrodzie, mają szansę rozbić atomy w rozrywkowym reaktorze jadrowym, który rękami zapewne stanie w hulis „Litewskij”. Zabawki polecam przez warszawskiego korespondenta nie tylko kłaków, ale i wycieczki. Przyłączamy się z gorącym przekonaniem do opetu p. Soleckiego. Ktożby to bowiem „koles spod budki z piwem” będzie na tyle stenosowiczony, aby spędzić długie godziny nad

kuflem, skoro lepszą rozrywkę znajdzie przy strzelającym automacie. A może by w ogóle automaty dla koleśków zastąpić i plakietyki „love me” spetny już swoje dydaktyczne postannictwo. Ich ofiarci producenci czekają na nowo bądice twórcze.

J. J. Mizinścy

Lublin

P.S. A nam się marzy kursa chata!

„Gastronomiczne rewiry”

W numerze 3 „Kameny” ukazał się artykuł Tadeusza Graby, traktujący o niektórych sprawach gastronomicznych lubelskiej. Znam nieco to środowisko i literaturę, że autor artykułu od prawdy nie odbił. Ze swej strony mogę dodać, że w gastronomii nie byłoby tylu różnorodnych niedopasowań, pospolitego zwyczajstwa i szowinizmu, o których to zabawkach stale informuje prasa, gdyby uszytko kierownicy zakładów byli uczciwi. Eżeliby i obywatelowy kierownik zakładu zawsze jest w stanie zmusić machlojki i w porę zapobiec ich kontrowersji. W niektórych jednak wypadkach to właśnie kierownicy w porocznym miejscu z szefami kuchni demoralizują personel, bo intencją nadużycia i wciągają do nich innych. A blada temu, kto nie zgodzi się z sobą szef! Dla gastronomii jest on skończony.

Jan Kurowicki

Warszawa

„Tak wspaniały a tak biedny...”

NAPISANIE książki o Juliuszu Kadencie-Bandrowskim jeszcze dzisiaj stanowi akt dużej odwagi. I to dla paru powodów. Trzeba bowiem ogarnąć ogromny dorobek powieściopisarski i publicystyczny oraz przekopać się przez stopy tego, co o Kadencie napisano. A krytyka przedwojenna nie żalowała mu słów — ani dobrych, ani złych. Miał bowiem nie tylko adoratorów swego pióra i swej osoby, nie brakowało mu też zaciekłych przeciwników. Porzycją pisarza sanacyjnego, rządowego, brytowała wielu. Zresztą i Kadencie należało do tych, którzy najlepiej czują się w walce, w ataku. Był urodzonym polemistą i — jak dowodzą jego powieści — pamfletystą. Publicystą — rzeczniczką ideologii Piłsudskiego.

Odpychały i same książki Kadena, ich styl, prowokujący, agresywny, degradujący nieustannie człowieka i jego sprawy. Nic więc dziwnego, że nie tylko nie napisano książek o Kadencie (zresztą czyż Nalkowska i inni wybitni pisarze dwudziestolecia mają „swoje” monografie?), ale pomijano w badaniach jego twórczość: pisało się często o autorach o wiele niższej rangi. Tego aktu odwagi dokonał Michał Sprusiński. Fragmenty jego książki o Kadencie ukazywały się zresztą w prasie i pozwalały oczekiwać na rzecz, która zmierzy się z „problemem Kadena” na płaszczyźnie zasadniczej. Sądzę, że Michał Sprusiński ze swym temperamentem krytycznym jest jednym z niewielu, którzy mogli się pokusić o monografię pisarstwa autora „Generała Barcza”. Sprusiński dosyć szczęśliwie powrócił do starego wzoru monografii „życia i twórczości” pisarza. W wypadku Kadena było to szczególnie uzasadnione. Nie na darmo przylgnęło do niego miano skandalisty. Niemal we wszystkich książkach krzyżował bowiem z pierwowzorów, branych często żywcem z najbliższego otoczenia.

O „Prochu” napisał Sprusiński: *Zadna z kilkunastu postaci brukuelskich „Prochu” nie jest wytworem jego wyobraźni. Polscy brukuelscy sportkali więc na kartach powieści swe sobowtóry, odmienione, w większości niezbyt chwałobnie, własne konterfity. I tak postępował Kadencie niemal zawsze. Za bohaterami powieściowymi „Luku”, „Generała Barcza” i „Mateusza Bigdy” stoją postaci rzeczywiste, często o wymiarze historycznym, działające na pierwszym planie zdarzeń. Te właśnie praktyki pisarskie Kadena nazywał K. Irzykowski — jeden ze sportretowanych w „Luku” — bandytyzmem literackim.*

Sprusiński świetnie i ze znanstwem rozszyfrowuje pierwowzory poszczególnych postaci, odczytuje przebieg wydarzeń i układy sytuacji rzeczywistych. Pamięta jednak stale, iż ma do czynienia z literaturą, ściślej: z powieściami politycznymi. A Kadencie doskonale spełnia nakazy poetyki powieści politycznej. Pamięta on, iż karmi się tą powieścią współczesnością i tym, co się dzieje teraz. *Dla pisarza politycznego — pisał Sprusiński — głównym atutem stanowi zmysł aktualności, docieklive sekundowanie wydarzeniom, które dzieją się na scenie i w kulisach życia politycznego, a nie są li tylko skandalizującą kroniką. Obiektywizm zabija powieść polityczną, żywi się ona paszkwilem i pamfletem.*

Autor książki o Kadencie pisze o jego bohaterach jako o postaciach z szopki politycznej. Chyba słusznie; do jego argumentów można by dodać jeszcze jeden: śmierć Coeura-Heroda, strąconego do szybu piekła za grzechy i zbytki. To znaczy z jasełek natchmiastowy tryumf ludowej sprawiedliwości nad upostaciowanym złem. Sprusiński dowodzi, że Kadencie z wielką pasją przekształca postaci ludzkie w marionetki, rozbija niejako całość na oderwane od siebie i niezależne części. Ekspozycja poszczególnych części staje się narzędziem charakterystyki postaci (np. szczęśliwej Bigdy).

W powieściach Kadena ludzie poddawani są nieustannej degradacji i obnażeniu. Wydobywa ich zwierzęcość, czują zawsze do siebie wzajemną pogardę, poniżają się. Posługują się obelgami, zwłaszcza w tym, czego nie ujawniają, a co znakomicie wydobywa tak chętnie stosowana mowa pozornie zaleźna. Krytyka przedwojenna wskazywała na biologiczną koncepcję człowieka, na podkreślanie tego, co w człowieku niższe, poniżające. Irzykowski pisał o tym, zwracając się wprost do autora „Mateusza Bigdy”: *że czuje doskonale upodlenie, poniewieranie, brutalność, świństwo, intrygę, prowokatorstwo i w odpowiednich scenach jesteś Pan mistrzem.*

W książce Sprusińskiego analizie został poddany styl Kadena, a także jego funkcja. Już dawno zwrócono uwagę, że postacie tego pisarza odwołują się poprzez zachowanie, działa stały układ bodziec — reakcja. Pisano o behawiorystyce, zaś Sprusiński zwraca uwagę, iż Kadencie bohatera przeżywającego zastępuje bohaterem reagującym. *Synonimem myśli — pisze — jej ekspresyjnym wyrazem jest [...] układ odruchowo-nawykowy. Psychika obnaża się w gestach, myśl zyskuje materialny wyraz. Co prawda o stylu Kadena nie powiedziano tu wszystkiego, ale przecież autor inne sobie zakładał cele; styl stanowił zaledwie jedno z licznych zagadnień.*

Może najciekawsze jest w tej monografii ukazanie pewnej dwójności piśmiennictwa Kadena-Bandrowskiego. W publicystyce był ortodoksyjnym piśmiennikiem, służył piórem ideologii sanacyjnej; natomiast w powieściach głos publicysty ucichał, pisarz poddawał się działaniu rzeczywistości, pozostawał jej wierny. Sprusiński pokazał to bardzo wyraźnie, choćby na przykładzie „Generała Barcza” i „Czarnych skrzydła”. Toteż recenzenci przedwojenni nie tailed swego rozczarowania powieściami Kadena. Jedną z autorek pisała o „Barczu”: *Ze też to legionista, który walczył o niepodległość, ręka nie drgnęła przy kreśleniu postaci, w których opinia publiczna może się domyślać wodza naszych walk wyzwolczych”. Pisarz nie szczędził bowiem i ludzi z obozu, do którego sam należał.*

Wielką zaletą książki Sprusińskiego jest to, że się ją czyta jak powieść. To książka nie tyle uczonoego co krytyka, choć legitymuje się on znajomością sądów i wypowiedzi poprzedników. A było ich bez liku, odznaczały się ogromnym zróżnicowaniem, zaleźni od przynależności politycznej ich autorów. Toteż bardzo dobrze, iż tyle opinii Sprusiński przywołuje. Niekiedy odczuwa się jednak nadmiar cytatów, zwłaszcza w rozdziale poświęconym „Czarnym skrzydłom”. Cudze sądy przytaczają tam to, co autor pisze od siebie.

Sądzę, że dla książki, zwłaszcza tych części, które dotyczą życia Bandrowskiego i jego działalności pozaliterackiej, przydałoby się skorzystanie z szerszych zasobów źródłowych. Mam na myśli listy. Autor posługiwał się niemal wyłącznie materiałem drukowanym, a przecież w bibliotekach można znaleźć trochę korespondencji Kadena. Zacytowane w książce fragmenty listów Kadena pozwalają przypuszczać, że bardzo wzbogaciłyby niektóre karty monografii.

To są zresztą uwagi na „wzrost”. Pionierski charakter książki Sprusińskiego sprawa, że nie tyle zamyka ona „problem Kadena”, co go otwiera. Podjęła jednak sprawy zasadnicze i nawet te — zdawałoby się trudne i sporne atakując odważnie i osądza z własnego stanowiska. Sprusiński, będąc lojalny wobec poprzedników, pozostaje niezależny, umie zachować swoje zdanie i czyni to z należytych uzasadnieniem. Dał książkę ciekawą i ważną, rzeczową ale i bardzo osobistą.

Tadeusz Klak

Michał Sprusiński: Juliusz Kadencie-Bandrowski. Życie i twórczość. Kraków 1971. Wydawnictwo Literackie.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

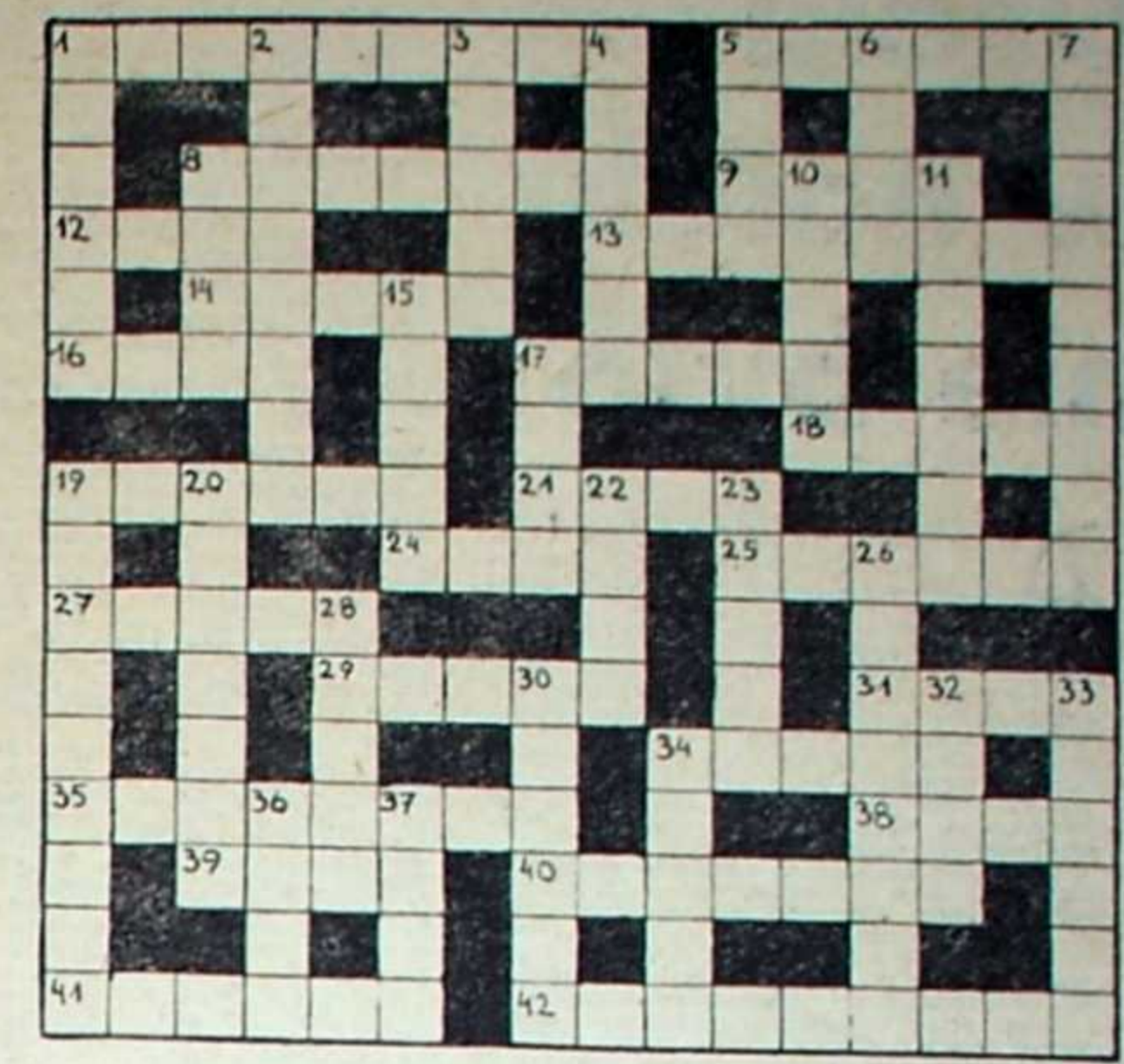
List ten sprawił nam masę radości również i z tego powodu, że zawiera akcenty polemiczne pod adresem konkurencyjnej rubryki „Odpowiedzi redakcji”:

Jestem czytelnikiem czasopiśma „Kamena”, bardzo chwałobnie sobie to pismo, chociaż można mieć wiele zastrzeżeń co do końcowej strony naszego tygodniowego. Myślę i to zabija mnie moralicznie i psychicznie, czytając odpowiedzi redakcji. Mając trochę ilości, obaj o wysoki poziom intelektualny w naszym kraju, bardzo bym prosił o zyczliwsze odpowiedzi do czytelników, do młodych lub starszych poetów czy pisarzy, którzy pod wpływem czy to wsteczności narodu polskiego, czy wybitnych piarzystów obcych narodowości, komponują własne utwory, nie mające (na razie) większej wartości literackiej. Nie wiem, jak o cenie moją wiesz, ale jestem pewny, że się na mnie nie zawieszacie. Pro-

Krzyżówka nr 5

POZIOMO: 1. kompozytor polski (1783-1837), twórca wielu oper m. in. „Zamku na Czorsztynie”, 2. bohater „Dziadów”, 3. kompozytor polski (1763-1833), twórca znanych polonezów, 4. ród strzelecki, 5. szwajcarska marka zegarków, 6. kompozytor polski (1814-1908), twórca popularnych mazurów i innych tańców, 7. imię znanej aktorki filmowej, szwedzkiego pochodzenia, 8. hiszpańska posiadłość w Afryce nad Atlantykiem, 9. opera Rimskiego-Korsakowa, 10. utwór muzyczny wielogłosowy, w którym każdy głos zaczyna tą samą melodię z pewnym opóźnieniem, 11. nie wojskowy, 12. czeplia się psiego ogona, 13. siostra Megeera, 14. ostrożka, 15. kokserska, 16. zespół dowodzący, 17. Śląska gra w karty, 18. port afrykański nad Atlantykiem, gdzie lądowały wojska alianckie, 19. nauka o wzajemnych stosunkach w przyrodzie, 20. zdobył czoło mistrza, 21. architekt i historyk sztuki pochodzący z Hrubieszowa, znany z telewizji, 22. imię trzech organistów i kompozytorów polskich z XV i XVI w. z Radomia, z Krakowa i z Chrzanowa, 23. chęć jedzenia, 24. kompozytor włoski twórca III oper.

PIONOWO: 1. znany szwajcarski dyrygent polskiego pochodzenia (ur. 1906), 2. wielki skrzypek i kompozytor włoski (1782-1849), 3. długotrwały brak deszczu, 4. powieść Dostojewskiego, 5. piórno, 6. największy ssak lądowy, 7. kompozytor radziecki (1872-1956), autor oper „Snieżyca” i „Wielki Kanal”, 8. sułtan na Półwyspie Arabskim, 9. kamizelka rannikowa, 10. figlarz, kawalarz, 11. miasto powiatowe w woj. poznańskim, 12. śpiewaczka polska (1882-1967), prawdziwe nazwisko Szayer, 13. opera Pucciniego, 14. wykonawca zdolny rozwiązać najbardziej skomplikowane problemy techniczne, 15. maszynowa ściana drewniana domu, 16. opera Moniuszki, 17. XV-wieczna pieśń hiszpańska o żartobliwym charakterze, 18. piosenkarz polski okresu międzywojennego, 19. kompozytor polski (ur. 1889), twórca oper „Sumienie czyli pierwsza kłya”, „Rey w Babilonie”, 20. państwo, 21. „Rey”, 22. współczesny kompozytor polski, zdobywca i nagrody w Olimpijskim Konkursie Sztuki w Londynie w 1948 r., 23. stolica Bangla Desz, 24. pianista amerykański, który odzłamał i opublikował młodzieńcza Sonata na skrzypce F. Liszta, 25. duża kosa.



Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3
POZIOMO: Dyzasłowski, tramp, Agadir, tarpany, Oka, laguna, gra, Kłoto, wiwario, Leopolda, Stanisław, Irlandia, Litwa, gnu, Saska, San, siekacz, czarty, Inari, analfabeta.
PIONOWO: Dedał, Glasgow, Indra, Sygorkonia, intaglio, tartał, psychopata,

Anton, Ner, Wasilewski, ADN, ewidencja, lin, Antyle, Lopuzna, Ala, daktyle, agnaci, Staff, Atena.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 3 nagrody wylosowali: Wacław Mazurek, Fajslawice, pow. Krasnostaw, Oleśnik, Edward Gasior, Tarnów 6, ul. Skowronków 7/18, Stefania Kotlarczyk, Smogorzów, pow. Przysucha, woj. kieleckie, Helena Ciepłńska, Warszawa 33, ul. Białobrzaska 10 m. 2.

Paweł Niewinny i jego oddział

Dokończenie ze str. 4

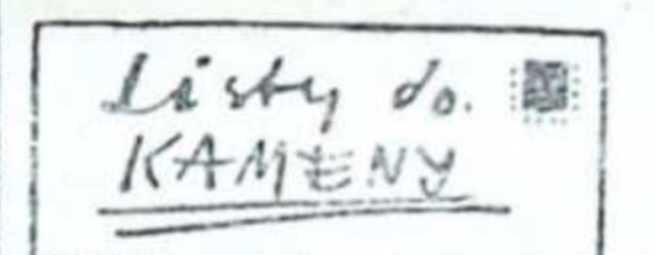
wyzwoleniu awansowany. Paweł Niewinny przejął jego obowiązki i wraz ze swymi byłymi partyzantami organizował w powiecie lubelskim komendy i posterunki MO, zostając pierwszym komendantem powiatowym milicji na tym terenie. „Bartosz” był osobą znaną miejscowym grupom reakcyjnym pod-

ziemiu, które wplw obrabowały mu rodzinę, następnie uprowadziły i zamordowały brata, w końcu groziły zamordowaniem żony i córki. Niepełna miesiąc przed swoją śmiercią Paweł Niewinny pisze raport z prośbą o przeniesienie go na zachodnie tereny kraju. 5 maja 1946 roku, będąc na urlopie wypoczynkowym, otrzymuje wiadomość o zabiłwie koła posterunku w Niedzwicy dwu milicjantów i u-

prowadzeniu trzech. Organizuje natchmiast pościg. W pewnym momencie psuje się samochód milicyjnej grupy pościgowej. Niewinny kontynuuje akcję na motocyklu. Za Niedzwicą motocykl zostaje ostrzelany z zasadki. Tak ginie pierwszy komendant powiatowy MO na tym terenie — kapitan Paweł Niewinny — „Bartosz”.

Jest w tej śmierci coś z tragicznego rozlewu między skończonością spraw jednostki ludzkiej a dalekosiędnymi racjami Wielkiej Historii, w której ta jednostka uczestniczy. I jest w tej śmierci coś z tragicznego optymizmu, kiedy dzisiaj oglądamy, czemu ona służyła. Tak jak służyła śmierć tylu innych.

Henryk Mioduchowski



„Demograficzne aspekty urbanizacji Lubelszczyzny”

W związku z moim artykułem pt. „Demograficzne aspekty urbanizacji Lubelszczyzny” zamieszczonym w „Kamieniu” z dnia 25.1. br., ukazał się list kierownika Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych w Lublinie, ob. Jana Martychewicza.

Intencją listu było wyjaśnienie nieścisłości zawartych w artykule — jak pisze autor — mogących wprowadzić w błąd czytelnika.

Pragnę podkreślić, że artykuł napisany został w oparciu o źródła statystyczne i własne uzasadnione odwołania autora z tytułu zainteresowań omawianą problematyką, a jeśli można tu mówić o błędach, to raczej nie dotyczą one mojej osoby, lecz osoby składającej wyjaśnienie.

Nie miałem żadnego celu w tym, by opisać publicznie wprowadzić w błąd. Nie wiem natomiast doprawdy, na jakich źródłach oparł swoje wyświady J. Martychewicz w nadesłanym do redakcji „wyjaśnieniu”, gdyż przytoczone przez niego dane daleko odbiegają od powszechnie dostępnych publikacji statystycznych. Ze względu na ograniczoną ilość miejsca nie jest możliwe i nie byłoby chyba wskazane ustosunkowywanie się do wszystkich zarzucanych mi przez J. Martychewicza nieścisłości. A zatem ograniczę się tylko do niektórych.

J. Martychewicz uzasadniając potrzebę kreowania nowych miast w przeszłości stwierdza, że w 8 z nich w 1965 roku zatrudnienie ogółem wynosiło 30 tys. osób, w tym zatrudnienie poza rolnictwem 29,2 tys. Zatem — jak pisze dalej — udział zatrudnionych poza rolnictwem w zatrudnieniu ogółem stanowił 86%, a w ludności tych miast 54,9%.

Już tych kilka stwierdzeń J. Martychewicza zawiera szereg nie tylko niejasności — co łatwo zauważyć — ale kardynalnych błędów.

Kto chce niech wstąpi do to, co pisze J. Martychewicz, że w 1965 r. w 8 miastach kreowanych miastach na ogółem liczba zatrudnionych wynosiła 30,6 tys. a 29,2 tys. pracowało poza rolnictwem, a więc tylko 69 osób w rolnictwie. Przytoczona wielkość jest zwykłą iluzją w świetle danych statystycznych, nie mówiąc już o tym, że nawet wskaźnik procentowy mający wyznaczyć udział zatrudnionych poza rolnictwem jest przez niego błędnie wyliczony.

Mianowicie stosunek procentowy liczby 29,2 tys. do 30 tys. wynosi 97,3% a nie 86% jak podaje J. Martychewicz. Ale nie o to chodzi. Chodzi przede wszystkim o wielkość absolutną. Pragnę wyjaśnić, że publikacje statystyczne nie podają zawodowo czynnych w rolnictwie i poza rolnictwem za rok 1965, gdyż Informacje na ten temat pochodzą ze spisów powszechnych przeprowadzanych w odstępach dziesięcioletnich, a więc na koniec lat 1960, 1966, 1970.

Z danych tych wynika, że w samym mieście Bełżycy w roku 1970 zatrudnienie w rolnictwie wynosiło 1371 osób, w Białym — 737 osób, w Opolu i Poniewie — 495, w Świdniku — 611, Rejowcu Fabr. — 429. Ogółem w 8 kreowanych miastach zatrudnienie w rolnictwie wynosiło w 1970 roku — 4422 osoby. W roku 1965 liczba osób zatrudnionych w rolnictwie w wymienionych 8 miastach była zapewne jeszcze większa, gdyż trend jest malejący. Dlatego więc J. Martychewicz podaje, że w miastach tych w roku 1963 zatrudnienie w rolnictwie wynosiło 400 osób? Skąd te dane? Zainteresowanych, jak również J. Martychewicza, proszę sobie odeśłać do Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Lublinie celom sprawdzenia.

Jeśli chodzi o poruszone przez mnie problem wyliczenia się miast miłych, to w artykule posłużyłem się miernikiem względny wyrażającym udział procentowy ludności w poszczególnych kategoriach wielkości miast. Wniosek moich rozważań jest więc oczywisty. Wzrasta udział procentowy ludności miast większych kosztem miłych. J. Martychewicz swoje wyświady opiera na

liczbach absolutnych wskazując, że ludność miast liczących do 5 tys. mieszkańców w latach 1964-1970 urosła o 2,5 tys. Nie porównał jednak tego przyrostu z przyrostem chociażby miasta Lublina, który to przyrost w analogicznym okresie wyniósł ok. 35 tys. osób.

J. Martychewiczowi nie zpadła się rachunek dotyczący wzrostu liczby ludności miejskiej w okresie powojennym. Gdyby jednak dokładnie prześledził myśl autora artykułu doszedłby do wniosku, że owa różnica (35 tys.) dotyczy przyrostu ludności wskutek poszerzania granic miast.

Kończąc swoje refleksje na temat wyjaśnienia J. Martychewicza, pragnę wyrazić obawę, że motywu jego repliki była mimo wszystko chęć odwetu za podanie przez mnie w wątpliwość prognozowanej wielkości napływu do miast ludności wiejskiej w latach 1971-75 oraz postulat dotyczący oparcia działalności organów planowania na bardziej naukowych podstawach. Dziwi tylko, że jeśli działalność tych organów jest aż tak dobra, to dlaczego panuje powszechny pogląd, oparty zresztą na statystyce, że Lubelszczyzna pod każdym niemal względem w dziedzinie społeczno-gospodarczej plasuje się na szarym końcu?

Stanisław Winnicki

Od redakcji: W liście p. Martychewicza („Kamena” nr 4) wskutek błędów korektorskich wydrukowano, że w 8 miastach w 1963 roku zatrudnienie wynosiło 30,6 tys. osób — zamiast 30,0 tys. W związku z tym spór na ów temat jest bezprzedmiotowy. Przepraszamy.

„KAMENA”

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, DRENEUSZ J. KAMINSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Numer łamaj KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 13

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-32

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131, polecony i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZGraf, Zam. 377. 9.11.72. 10.600. B.4

gnałby bardzo, aby znalazł się kawałek stonicy do wdrakowania tego wstępu. Jest to wiersz pochwalny dla geniusza odrodzenia w Polsce, Mikołaja Kopernika. Kończąc ten wstęp, przypominam się jako

Wiesław U. z Lublina

Ze względu na szczerpłość miejsca jesteśmy w stanie opublikować tylko cenniejsze fragmenty dzieła pt. „Nicolauus”:

Na niebieskim niebie poruszają gwiazdami, swym wielkim umysłem, swymi przemyślaniami, które sam taksonat, własnymi rękami. Będąc jeszcze dzieckiem, na niebie spoglądał, na gwiazdy, planety — rozmijał, podglądał.

Tak go niebo pochłonęło, w wir pracy utnęło, puszczano, ciekawość, ale nie puściło. Wreszcie dzień szczęścia przypał i dla niego

Odkrył — całe rozszyfrował niebo. Mikołaj nie dożył lat zadowolenia, Przez swe życie przeszedł po mękach, cierpieniach.

Składam tobie hold — wielki Koperniku, lekarzu, astrologu, pisarzu, przyrodniku.

Pamięć twoja nie zgini — będzie latniec nadal, O tym, który niebo pokochał i zbadat.

Tym sposobem redakcja niezależnego organu Poste Restante ma awansem załatwioną sprawę uroczystości kopernikańskich.

Draki w hotelu nie było

DOŚTAŁEM cynk, żeby pojechać do Świdnika, gdzie w hotelu robotniczym „Lotnik” odbędzie się duża draka. Niezależny głos w słuchacze telefonicznej podał termin: 2 lutego, godz. 18, nie chciał się natomiast przedstawić, ale za to przeniósł bym wyemitować incognito.

Uciebiłem draki w hotelu, toteż pojechałem chętnie, choć nie bez trudności. Do autobusu PKS nie dostałem się z powodu przepiętania. Musiałem uciekać tak szybko.

— Pan przyjeżdża, czy na rachunek? — spytał facet za kierownicą.

— Na rachunek — odrzekłem, zadowolony z siebie, choć nie miałem nadziei, czy RSW „Prasa” będzie mi ten wydatek zwrócić.

— Wystawiam rachunek na 3 dych — powiedział kierowca. — Słędem dla mnie, dycha dla pana.

Zaproponowałem odwrócić podział forsy. Nie zgodził się. Wobec niemożności ujednolicenia stanościak pojechał na licznik mnożony przez dwa. Busem Świdnik, choć faktycznie się odlepił przedmieściem przemysłowo-mieszkalnym, bardzo ściśle związanym z Lublinem, administracyjnie występuje jako odrębna jednostka, do której, jadąc tak szybko w jedną stronę, placę podojną także. Wypadło 75 zł, wszystko dla kierowcy. W porównaniu z pierwszą jego ofertą, on i

RSW „Prasa” zyskał po 3 zł, ja straciłem dych. Poszukiwany obiekt odnalazłem bez trudu, jako że w Świdniku tylko 3 budynki nie jest otynkowanych, a w nich właśnie mieści się pięć hoteli robotniczych.

Wszedłem zatem do świetlicy „Lotnika”. W hallu posadziłem mnie głos: „Cześć redaktorze, jak leci?”. Okazało się, że mam sporo znajomych wśród pracowników WSK, także zamieszkałych hoteli.

— Zadzany tytułów! Jestem tu incognito — zapowiedziałem.

Spytałem o toaletę. Jakis pan wypchnął Byska-waczenie z kieszonki kluczy i uszczępnione uszkie — niczym w kapitalizmie — pod rękę, zaprowadził do ustronnego kąciaka, zamkniętego na dwa spusty, linkującego uwechną czystością. Potem dowiedziałem się, że mieszkanie hotelu nie są narazem na chodzenie po kluczu, gdyż na każdym piętrze są też inne toalety, uprzedzić mniej blizsze, ale za to otwarto.

Znalazłem się wreszcie w obszernej świetlicy, ozdobionej napisami „XXX rocznica PPR”, „PKO — systematyczne oszczędzanie — przynosi własne mieszkanie”, „Palenie uzbrojone” i „Warto przeczytać”. Pod tym ostatnim tytułem piętnaście obwiesiło nowości wydawniczych. Deski podłogi pięknie zamalowane. W jednym kącie, na usterchu oszklonej szafki bibliotecznej (za szybą trzy kasetki szachowe i trzy gry „warcaby — mylnie”) stał telewizor. Drugi kąć odgrodzony był od reszty sali gustowną, perkalową kotarą. Na sali, przy wysokich stołkach typu „bar mleczny”, siedzieli około pięćdziesięciu osób, czyli jedna czwarta mieszkańców hotelu. Nie uosob, jaki był powód nieobecności reszty: praca na drugiej zmianie, brak zainteresowania sprawą, czy też po prostu brak kieszonki.

Gdy za kilkanaście minut razem stołkami zastadło już przysiadło (a jakże!), wstąpił jego przewodniczący inż. Gruda i odczytał z kartki m. in., że otwiera zebrane sprawozdanie wyborcze samorządu mieszkalców; poprzedni samorząd, uformowany przed dwoma laty, rozpadł się wskutek wypracowania się jego członków, bądź wskutek nieaktywności pozostałych; obecny samorząd został dokooptowany w ub. roku (nie wyjaśnił wszakże do czego dokooptowany i przez kogo). Następnie odczytał, że obecny samorząd zatwierdził i. in.: reperację radia w świetlicy, reperację głośników w pokojach, upranie koców, umundurowanie portierów, zakup sprzętu sportowego, zmianę kategorii hotelu z I na II.

Zaczęłam zastanawiać się właśnie, dlaczego obiektowi, w którym następuje poprawa warunki-

ów, obniża się kategorię, gdy inż. Gruda odczytał, czego samorządowi nie udało się zatwierdzić. Zainstalowanie umywalki do mycia nóg, ustalenie w jakich godzinach w kranach będzie ciepła woda, zapatrzenie toalet w papier higieniczny, urządzenie cieniemi fotograficznymi, wyekwilibracja ze świetlicy jakiejś komisyj.

Z kolei powstała kierownicza świetlicy p. Łuszczyńska odczytała, co przez 2 lata w tej działającej pół roku w roku świetlicy zrobiono. M. in. 22 wykłady oraz szereg odczytów i spotkań. Te ostatnie głównie ze sportowcami miejscowego klubu sportowego „Avia”, bo „Avia” idzie w tabelach w górę.

Następnie występowali dyskutanci, zadając pytania w rodzaju: mieszającym tu całe lata, nie należy wydzielić na każdym piętrze jednego pomieszczenia kuchennego; czy w każdym pokoju nie powinna się znajdować umywalka; dlaczego nie ma w hotelu pomieszczeń do prania; dlaczego nie ma człowieka zajmującego się stałą konserwacją urządzeń; dlaczego gdy ktoś zadzwoni do mieszkańca, portierzy nie proszą do telefonu, lecz mówią, że takiego chustulow nie ma; czy hotel nie mógłby być wyposażony przynajmniej trzy razy w tygodniu, tak dokładnie jak dział; dlaczego sprzątaczkom utrudnia się dostanie do lekarza, ordynującego uwewną, za bramami WSK, i dlaczego, gdy już uad tam się tam ucejli i otrzymali zwolnienie lekarskie, nie przyjął się zastępstwa za chore?

Po krótkim orędziu pana palacza („Zebym dobie na okrągło spał do kotła to i tak ciepłej wody nie wystarczy, bo przyjdzie taki jeden czy drugi, odkręci kurek, wykipie się, nie zakręci i pojździe”) głos zabrał kierownik hotelu, pan Konik. Wyjaśnił on, iż jedna sprzątaczką za 80 zł miesięcznie ma uprządkować codziennie 18 pokoi dwu- i czteroosobowych, dwie łazienki i jeden korytarz. Jest to mała robota, bo większość lokatorów białymi wykładkami, śmieci, chłapie, a poza tym gniazda, kurki, szczerki, termometry, niszczone są sedesy, a gdy który lokator położy sobie do pokoju odkurzacz czy żelazko elektryczne, na ogół oddaje zepsute. Kierownik dodał też, że hotel wykorzystuje w całości limity na wymianę zużytego sprzętu.

Wystąpiła teraz pani Hargutowa, kierowniczka zespołu pięciu hoteli robotniczych WSK. Przedstawiła trudności administracji: gdy popuła się pewna ilość płyników ze zbiorników wody w ustę-

pach, można było kupić nowe tylko w sklepach sprzedających za gotówkę i nie wystawiających rachunków; kierowniczka kupiła za własne pieniądze, lecz okazało się, że zaklad nie ma prawa jej ich zwrócić. Co do papieru higienicznego: nie może na powiesić go w toaletach, bo są łacy, co całe raki wrzucają do muszli — brak kultury. Najbardziej złośliwie tak jak w biurze, dać każdemu rolkę i niech wsi 2 soba. Co do sprzątaczek: zastępstwo chorobowych nie przewidują się.

Ostatnim mówcą był pan Kucharski, pełnomocnik dyrektora WRK do spraw społecznych. Stwierdził, że zajmuje dopiero od kilku miesięcy. Mimo to ma już wyrobiony pogląd, że: lokatorem hoteli nikt nie robi łaski, że mieszkanie — to zaklad jest zainteresowany, aby mieszkanie i wyposażenie jak najlepiej, a efektywnie pracowało, należy stopniowo podnosić standardy hoteli robotniczych, które ewoluje na ściany zewnętrzne, przykrywkę, wymianę stopniowo głośniki na radia, poprawić wyposażenie pokoi, planowane na najbliższe lata obiekty ogólnomiejskie jak kryta lodowiska, stadion i dom kultury też umożliwią mieszkańcom hotelu lepszy wypoczynek. Zresztą jeśli chodzi o ten hotel, w którym znajdujemy się, to budynek w bieżącym roku ma zostać przekazany szpitalowi, a dyrekcja zapewniła, że dotychczasowi lokatorzy zostaną umieszczeni na pewno nie w wyciecznych warunkach mieszkalnych.

Wicedyrektor wyjaśnił też, że komisja proponowała korzystanie z różnych lokali, aby nie blokowała jednej świetlicy. Komisja stwierdziła jednak, że inne nie nadają się. Wskazując wkrótce, gdy uprzedzi się tu szpital, będzie musiała zmienić swe zdanie.

Cześć wyborcza była krótka. Samorząd ma składać się z 7 osób, a sąd koleżeńki mieszkalców — z pięciu. Z trudem udało się wysunąć siedmiu kandydatów do samorządu i tylko trzech do sądu. Wszyscy przeszli jednogłośnie.

Serdeczna, ciepła atmosfera zebrania zapewne wynikała z faktu iż: 1) jest to najbliższy (jeśli chodzi o warunki) z pięciu hoteli robotniczych WSK, 2) po zmianie kategorii z I na II cena pobytu za dobę zmalała z 2 zł 60 gr do 2 zł (słownie: dwa złotych), 3) była jaka stacja w Świdniku w pokoju wieloosobowym kosztuje minimum 300 zł miesięcznie.

Anonimowy donosiłci nabrał mnie szpetnie. Wróciłem do Lublina zadowolony. Draki w hotelu nie było.

(Wiśń.)

MINUTA MYŚLENIA

Kto kocha Lublin?

CZY istnieje Towarzystwo Miłośników Lublina? Pytam, bo oficjalna nazwa tu i owdzie się jeszcze pojawia, ale żadnych konkretnych zjawisk w związku z nią do zanotowania nie ma. I nie chodzi o doping. Operatywność — tego sprawa. Ale obawiam się, że w tym stanie rzeczy, jaki się obecnie wytworzył, nie ma pewna idea w wypadku naszego miasta dość istotna i kulturowo owo: ocalić od zapomnienia. Zjemy na styku dwu kultur.

W naszych czasach wyznaczył sobie rendez-vous wiek XIX i wiekiem XXI. Nawet tymi samymi cyframi rzymskimi się to pisze. Relikty przeszłości koegzystują z futurologicznymi prognoząmi. Warto było przedstawić elementy odchodzącego świata w kulturze obyczajowej, atmosferze społecznej, nawykach, strojach, grach i zabawach. A przede wszystkim w architekturze. Raz po raz uznaje się jakiś obiekt za zbyt zaawansowany w lecach i urządził mu się niezłapnie gozdrzy pogrzeb. Z użyciem buldożerów, przyrządów demontażu i ciężarówek-wywrotek. Po to, by postawić nowy kilkanaście pieter mający eszemplarz jessz-cze — jednego niedawna zgliszcztowaną — architekturę nowoczesności. Tak przypada w Lublinie wiele jego „substancji architektonicznej”, tworzącej kiedys w jakże istotny sposób jego charakterystyczną panoramę. Wylizamy z pamięci: wieża cieniów, boisko WKS „Unia”, gro szowa zabudowa dzielnicy Kalinowszczyzna, wybitnie pejzazowe otoczenie na styku ulic Mariana Buczka, Fabrycznej i Alei Zygmunto-wskich. A także dzielnicę Dziesiąta, do niedawna przez swą wyjątkowość miły sercu rezerwa-wal w mieście, gwałtownie zmieniający swój wygląd na gwałt odra-biając zalety w dozłusowy-

waniu do modnego stroju dzisiejszej urbanistyki.

Co w tych warunkach? Pomocnicie miłośnicy Lublina, nie od strony organizacyjnej, bo ta — jak widzimy — aktualnie prze-bywa w sferze bytów abstrakcyjnych, ale rada i serdecznym zaangażowaniem osobistym. Może by jakąś wystawę fotografii prezentujących dawną szatę Lublina, może jakieś wydawnictwo w postaci monografii-albumu zawierające zaginiono i ginące reszki charakterystyczności? W każdym razie musi to być coś com amore, coś z hobby, może nawet mania.

Osobiście opuję za albumem. Ewentualnie z jakimś tekstem za pomocą słowa wspierającym wy-mowę, rytmiku. Hylen ostatnio w Łodzi. Wpadł mi tam w rękę bardzo starannie wydany album prezentujący curiosa architektoniczne jednej tylko ulicy Piotrkowskiej. A czy Lublin u nas ko-mniej niż jedna ulica gdzie indziej?

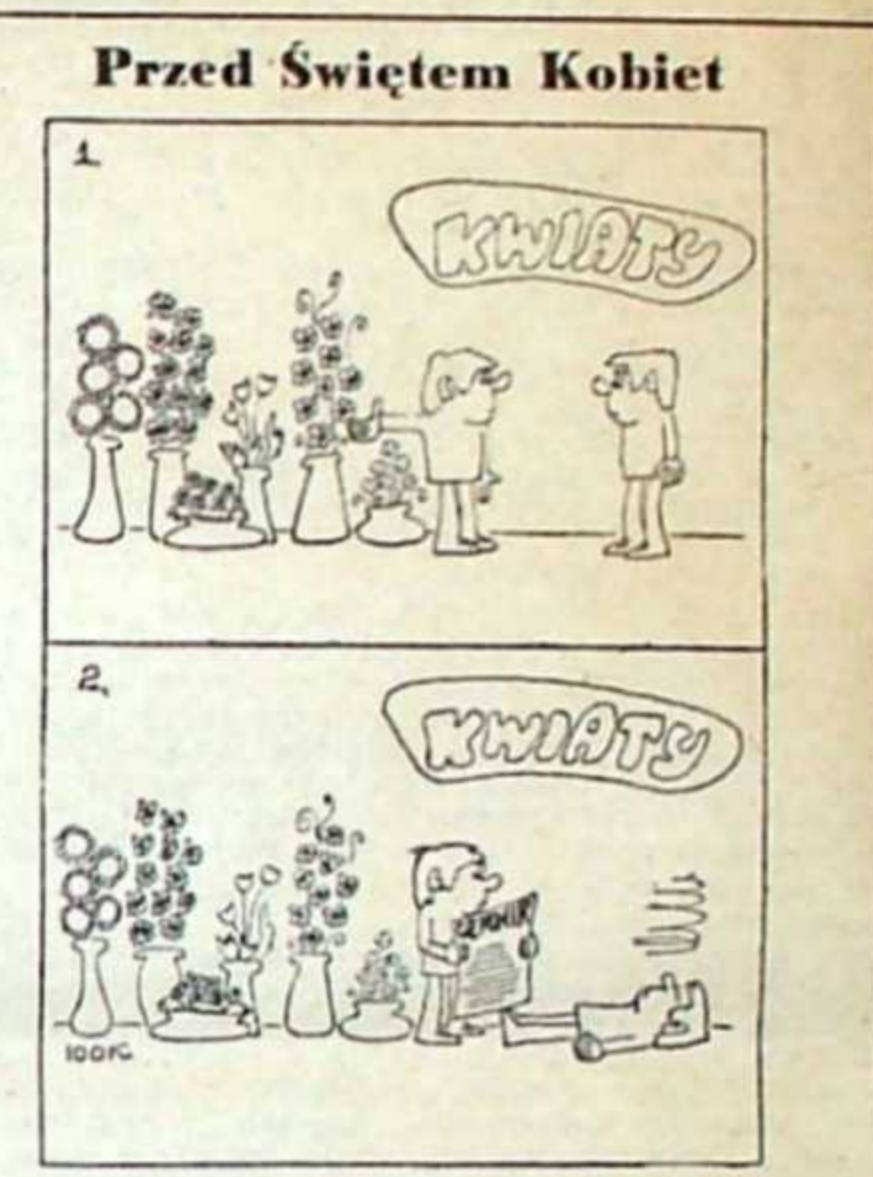
Niech nikogo nie dźwi upór, z jakim dobił się o trochę uwagi dla czasu przeszłego. Powzrajno po gustach. Zawsze w rozmowach widzę na jaw, że wszyscy — nawet bez względu na wyznaczenie — jesteśmy trochę zmęczeni incognito, w jakiejś przejawia się skądinąd przedawana stessami atmosfera czasu

terańszego. Cośkolwiek tęsknią do indywidualności naszego otoczenia i naszych sprzętów. Na biurkach pojawiają się lampy elektryczne archaizowane na modłę ubiegłorocznych nawiątek. Samowar jest ostatnim krzykiem domowych utylensylów. Ba, nawet w poezji daje się zaobserwować nawrót do klasycyzmu, a przynajmniej regularnej strofy, co jeszcze parę lat temu nie było do pomyslenia.

Czasu odrzucić się nie da, dlatego nie proponuję na placu przy ulicy Nowotki wybudować czynszowej kamienicy, czy wprost przydrożnej karczmy a'la wiek XVIII. Ale niechże w środkach artystycznego wyrazu przynajmniej aszowa się to, co przetrwało w serdecznej pamięci się dopomina. Kosztem wielu milionów urządzić się skansen. W wypadku proponowanego albumu możemy mówić zalety o tysiącach. A w naszym województwie mamy ich tylko sied.

Wystąp, kto kocha Lublin, z przemysłową i realnie ujętą inicjatywą. Wasielwie i to wręczanie nie jest chyba konieczne. Jestem pewien, że będzie to zasłużone dla naszego miasta, piętnastoletni jubilat, operatywne Wydawnictwo Lubelskie.

Ijon



Rys. A. Stok

FALSETEM

Skazani na „czyn społeczny“

OTRZYMAŁEM werwanie z Kolegium ds wykroczeń przy Prezydium MRN w Lublinie: „Wzywa się Obywatela (ka), aby jako świadek w sprawie p-ko ob. (tu imię i nazwisko) obwinionemu (ej) o zakłócenie porządku publicznego stawili(a) się na rozprawę w dniu 12.II.1972 roku o godz. 13.30 w Lublin, Rynek 1 „Trybunał” Sala Nr 1...“

Władza każe, obywatela świadczyć co wie, posiada, a więc zjawiam się w oznaczonym godzinie w oznaczonym miejscu. Wysokie Kolegium rozpatrzy te go dnia cztery sprawy. „Moja” jest druga.

Za obszernym stołem — trzech panów w cywilu: jeden młodszy, jeden w średnim wieku, jeden starszy. Młodszy ma w kieszonce miniaturową brązową odznakę in. Janka Krasickiego, powaga nie schodzi mu z twarzy. Przewodniczy pan w wieku średnim. Przed Kolegium (sprawa pierwsza) dwudziestokilkuletni mędzian. Jasna kurteczka, różowy sweterek przystojna, ogolona twarz. Ciężko na nim zarzut, że wywołał gorszą awanturę w restauracji „Pod basztą”, lżył bufetową i kelnerkę, skopał szatniarkę.

W relacji młodzieńca wygląda to w skrócie tak: — Przyszedłem do restauracji, bo chciałem się napić piwa. Odmówiono mi w bufeście sprzedaży, wobec czego zwróciłem się z prośbą o książkę załazę. Książki nie otrzymałem, natomiast rzucił mi na mnie jakiś pracownik. Powalono mnie na ziemię, może wówczas kogoś kopnąłem.

— Czy byliście w stanie nie-trzeźwym? — pyta przewodniczący Kolegium.

— Nie, rano wypilem tylko szklankę wina.

— W dowodzie osobistym obwinionego brak adnotacji o miejscu zatrudnienia. Twierdzi, że pracuje od niedawna, nie wie, ile będzie zarabiał. Ma żonę, jest ojcem dwojga dzieci.

Zeznają świadkowie: kelnerka, kierowniczka i jej zastępca, szatniarka.

Kelnerka: — U nas w bufeście piwa się nie sprzedaje, a tego dnia w ogóle piwa nie było. Ten pan (tu wskazała na obwinionego młodzieńca) awanturował się, wymyślał od kurwów, wy-ciągał do mnie ręce, chciał mnie bić. Kiedy kopnął szatniarkę i wyszedł z restauracji, załagnę-

liśmy go z powrotem i wzywaliśmy milicję.

Kierowniczka: — Kopnął szatniarkę w głowę ma w piwno. Szatniarka: — Był pijany, kopnął mnie.

Protokółantka notuje, przewodniczący też coś kreśli, przegląda akta. Młodzieńca ma p-tnie:

— Czy można tak wysoko podnieść nogę, aby kopnąć w głowę? — Chce podnieść nogę, ale Kolegium nie wymaga już takich szczegółów. W ostatnim słowie młodzieńca prosi o łagodny wy-miar sprawy.

Tenaj „moja” sprawa. Jestem świadkiem, więc muszę na razie opuścić salę. Ze mną wychodzą dwaj pozostali świadkowie, jeden z nich jest poszkodowanym.

A było to tak:

W styczniowym wieczór szedłem ulicą Narutowicza. Z restauracji „Nad Bystrzycą” wycoczył się zalany mężczyzna, zgłaskiem przeszedł jezdnie, tutaj zaczęli dwóch mężczyzn chwycił za kurtkę i uderzył w twarz. Napadnięty, jak się teraz okazało, pilnie niegdyś trenował boksa, więc nie dał sobie w kaszke dmuchać. Był jednak ślisko, a więc po chwili obaj toczyli się w śniegu. Zatrzy-małem wóz milicyjny, no i teraz znalazłem się w roli koronnego świadka.

Przyšla na mnie kolej, zezna-łem, jak wyżej. Obwiniony, mężczyzna po czterdziestce, miał mię bardzo skruszona, w ostatnim słowie pokrzylił, że nie nie pamięta i prosi, jak i jego poprzednik, o łagodny wymiar kary.

Następnie rozpatrywano zjawienie w „Regionalnej”. Obwiniony nie stawil się, zeznawali tylko świadkowie. I wreszcie na

końcu Kolegium zajęło się pewnym dwudziestolatkiem, ale to była sprawa bardzo drobna.

Kolegium udalo się na naradę, a my — na korytarz.

Młodzian w różowym sweterku mówi:

— Wesną trzy tysiące złotych. Jeśli to przelicza, na miesiąc aresztu po 100 złotych, pojde siedzieć. Oplacił mi się...

Ten, którego uderzył piłak, pod-ciezza obwinionego:

— Nie było żadnego zbiegowiska, nie dostanie pan wiele...

A jednak kolegium zdecydowało inaczej: młodzieńca w różowym sweterku odprucuje bezpłatnie 90 godzin w przeciągu trzech miesięcy w zakładzie wyznaczonego przez WSW, Piłak — 40 godzin w okresie dwóch miesięcy.

Dwudziestolatek zarobił upomnienie.

— Dobrze kolegium! — słyszę po rozprawie. Młodzieńca w różowym sweterku śmieje się:

— No, miałem szczęście...

— Ale jak pan mógł tak narozrabiać po jednej szklance wina?

— Jednej? A co ja głupi, żeby się przynależ, ile wypilem? A tak skazali mnie tylko na czyn społeczny.

Byłem tylko świadkiem. Niepety-tany — milczałem. Boję się jednak, że z chuliganstwem będzie-jemy jednak walczyć bardzo, bardzo długo...

A gdy kogós beda lali w mordę, udam, że nie widzę.

MAJ

Noty i notki

Tylko jedno pismo („Kurier Polski” nr. 33) w sprawozdaniu z 10dziesiątym Zjazdu ZLP zwróciło uwagę na uchwalony tam de-zyderat o rozszerzeniu wpływow Funduszu Autorskiego przez ustanowienie opłat za wykorzystanie tekstów, których prawa wygasyły, w teatrze, filmie, radiu i telewizji. Jak dotychczas tzw. adaptatory gorliwie i bez skrupułów korzystali z klasyki, tu coś zmienili, tam dodali, gdzie indziej ujęli — po czym chodzili w głorii autorów i w dodatku inkasowali pokasne honoraria. Po zrealizowaniu tego dezyderatu będzie więc zapewne mniej tzw. adaptacji, ale więcej sztuk.

Niestety, to nie zapobiegłoby innym ekstrawaganckim pomys-łom reżyserów, np. takim, jaki zaprezentowano w warszawskim teatrze dla dzieci „Lalka”. Recenzentka „Trybuny Ludu” (nr. 41) z Kwielecia oburza się, że na tamtejszej scenie Her-rod chodzi trzymając odęta głowę, która w miejscu odcięcia pomalowana czarna farbą. A ja oburzę się dopiero wówczas, gdy zobaczę to, co już widziałem na jednej z scen paryskich: aktor pożerał watroby zamordowanego właśnie kolegi, a z tej-ż watroby kapala gesto krew.

Jak wynika z całostronnicowego artykułu Haliny Maleszewskiej pt. „Pan Instytut w szkolnej ławie” („Perspektywy” nr. 6), leższe żaden z absolwentów kursów poddyplomowych, które istnieją u nas od lat 10, nie otrzymał z tej okazji ani awansu, ani chociażby skromnej podwyżki. Pikantnym uzupełnieniem tej smutnej wiadomości jest inna na poprzedniej stronie, w której strip-teaserka w Katowice wyznaje, że po niecałym roku praktyki zarabia 8,5 tys. zł miesięcznie. Akurat tyle, dodajmy, aby zapłacić podatek wyrównawczy.

Po owym nieudalnym konkursie na strip-teaserki można się pocieszyć w warszawskich kawiarni „Arkady”. Jak pisze Ma-ciej Karpiński w „Standardzie Młodych” (nr. 33), „znakomita (..) z poświęceniem śpiewa między stołkami „Kup moje ciało”, tyle że wypadłoby to lepiej, gdyby nasza publiczność dawala się sztybeli rozruszać. Tak niestety nie jest”. A może dlatego nie jest, że dalszy ciąg piosenki-oferty, o czym Karpiński nie pisze, proponuje: „na jedną noc”? A swoją drogą nie wiem, co bardziej podziwiać — odwagę piosenkarki czy autora tekstu!

W ostatnich dziesięciu latach liczba osób z wyższym wykształceniem pracujących w gospodarce narodowej procentowo zwiększyła się niemal dwukrotnie. Z jednym wyjątkiem: nau-cywciele. Ogółem jest ich o 8,8 procenta mniej; w liceach ogólnokształcących — o 7,8 procent, a w szkołach zawodowych — o 8,6 procent. Tak przynajmniej podaje autorytatywny chyba „Głos Nauczycielski” (nr. 7).

W Prezydium lubelskiej WRN na każdych drzwiach wisi tabliczka z imieniem, nazwiskiem i funkcją siedzącego wewnątrz urzędnika. Hierarchia została jednak zachowana. Członkowie Prezydium posiadają tabliczki metalowe, ładnie grawerowane, wszyscy inni — papierowe.

Whrow nadziejom, wywołany i podsycony przez prasę sportową, w Sapporo dostaliśmy tegie łanse. Dla osłody został nam tylko jeden medal — 1 to złoty — Wojciecha Fortuny. Dla mnie jednak moralnym medalistą w tej konkurencji są dwaj inni ludzie. Pierwszy to trener kadry J. Fartek; przed wy-jazdem do Japonii chciał on odstąpić swoje miejsce skoczkiowi, którego władze sportowe do ostatniej chwili nie chciały wy-słać. Drugim medalistą jest Tadeusz Konwilek, który dwa dni przed konkursem skoków powiedział reporterowi „Kuriera Pol-skiego”: „Tego chłopaka jeszcze nie wciągnęła w swe tryby biurokratyczna maszyna sportu. Jeszcze nie obrócił szmag-łstwem, tym klimatem stworzonym przez ludzi znających w-klas”. Następnie medale proponuję rodzice tym, którzy intensy-wnie walczą owych szmagłów i rozpadają te klany. Obymy zdążyli na czas przed Monachium!

Nie wiem, czy blad znajduje się w encyklopedii „Radio i te-lewizja”, czy też powinien go reprezentować telje encyklopedii Jerzy R. Gonczarski, pisząc w „Standardzie Młodych” (nr. 30): „Mija już 52 lata od uruchomienia pierwszej radiostacji w Łęsbur-gu w Stanach Zjednoczonych”. Po pierwsze — mijają, ale właściwie nie mijają, bo pierwsza radiostacja (z programem słownym i muzycznym) uruchomiono w 1914 roku w Laeken w Belgii, a w roku 1922 było na świecie już ponad 100 radiostacji.

JOD

Odpowiedzi redakcji

T. P. w Lublinie. Rozprawka historyczno-literacka o mało znanym poecie romantycznym Tadeuszu Ładzie-Zablockim zainteresowałyby może „Pamiętnik Literacki” albo inne pismo fachowe polonistów. Dla nas jest zbyt specjalistyczna, za mało naszych czytelników byłoby nią zainteresowanych, choć przyznajemy, że napisana została bez tej wysoce fachowej, krwisto-soczystej uczoności, która często w ogóle zniechęca do czytania tego rodzaju prac. Co się natomiast tyczy recenzji z powieści Tadeusza Nowaka, to wydała nam się narzyt, zrobiliście kompozycyjnie i merytorycznie do końca nie przemyślana. Ponadto potraktowali Pan i powieść głównie w jej — by tak się naukowo wyrazić — aspekcie poznawczym, zapominając, że może być ona do-kumentem osobowości autorskiej, dokumentem na wskroś lirycznym, o który zresztą szczególnie łatwo, gdy autorem powieści jest poeta. Zresztą — jak powiada Mauriac — każde dzieło sztuki, choćby najbardziej obiektywne jest wyrazem sfinkso-w i mitów autorskich, tylko trzeba umieć to dostrzec.

M. K. K. w Stalowej Woli. Pan wie o tym, że istnieją w bliższej i dalszej tradycji literackiej pewne motywy i metafory jako poetyckie i góry zawartościowe: maj, bry, zrenica błękitu, serce, kwilende psaszat etc. etc. I Pan się tymi motywami dość sprytnie posługuje. Wchodziśtad wierszyki konwencjonalne, do potocznej wyobraźni, byle może, nawet przemawiające, np. „porankami płotów” sadzone poziom-ki maj wkraczał bżam w oczy” pełne nieba „przy studni żuraw wczesny z gospodarzem popijał egzotycki rybe”. Tylko że zadaniem poezji jest przelamywanie potocznych stereotypów wyobraźni, a Pan

F. R. w Krakowie. Nie jesteśmy skłonni zamieścić Pańskiej „pocztów-ki z Krakowa”. Jakoś się w naszym piśmie nie utarł zwycięży poza li-stami ze stolicy publikowanymi tego rodzaju tekstów i nie widzimy spe-cjalnych powodów, żeby miało być odwrotnie. Pan zaś, jako Krakow-ianin, zrozumie z pewnością naszą przywiązanie do... zwycięzajów, choćby to były zwycięzaje à rebours. Mimo powyższego — dotąd współ-pracowało nam się dobrze, czego życzyliśmy sobie wzajem w przy-zności. Pozdrawiamy.

A. N. w Gliwicach. To znaczy, proszę Pana, że nas Pan nabrał i żadnego listu w ogóle Pan nie napisal poprzednio, a chciał Pan tylko przypisywać ewentualną odpowiedź redakcji. Intruzując tajemniczo prze-syła, Z nadstaniego ostatnio listu nie wynika, co Pan porabia na świecie i czego od redakcji żąda, ewentualnie o co prosil. Gdyby się te sprawy nie wykazywały jakimś tonem zbyt infantylnym, to byłoby dość ewidentnymi przykładami „małego realizmu” w poezji. W sumie cała ta sprawa literacka narzyt interesująca nam się nie wydaje.

W. D. w Warszawie, W. P. Matyldowie, C. R. w Lublinie, M. P. w Toruniu, P. S. w Zaganiu, W. S. w Przemyslu, J. P. w Wrocławiu, P. J. w Łodzi, C. K. w Piotrkowie, J. K. w Lublinie, P. E. w Radomiu, J. R. w Lublinie, Stanisław „Ciebro” w Łapach, A. P. w Wrocławiu, A. P. w Warszawie, J. K. w Lublinie, R. K. w Międzyrzeczu Podlaskim, T. J. F. w Lublinie — teksty nie zyskały naszej aprobaty.